CZWARTEK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 104 7 WRZEŚNIA 1978 R CENA 1,50 ZŁ

Korespondencja z Bułgarii

RYTM CIĘ ZWABIŁ? – TOŚ GOŚCIEM

str. 5

Fot. A. Stawicki

WAKACJE Z MELPOMENĄ

ZAMOŚĆ (HSI). Młodzieżowy Teatr Aktualności ZHP z Zamościa już po raz szesnasty przebywał na artystycznym obozie szkoleniowym. W tym roku siedzibą ich stał się Krasnobród. Uczestnicy obozu pracowali przede wszystkim nad wzbogaceniem swojego repertuaru, a także doskonaleniem umiejętności aktorskich. Codziennie odbywały się ćwiczenia dykcji, baletowe, trening aktorski, szermierka itp. Oprócz działalności artystycznej każdy członek Młodzieżowego Teatru Aktualności podjął również działalność instruktora ZHP. Stworzyli oni szczep artystyczny „Płomienie" przy Młodzieżowym Domu Kultury.

W. Grądkowski

Mistrzowie radiopelengacji

ŁODŹ (HSI). Dużymi osiągnięciami w skali ogólnopolskiej mogą się pochwalić członkowie łódzkich klubów Ligi Obrony Kraju. Drużyna, składająca się w większości z uczniów Zespołu Szkół Elektronicznych, na rozegranych w sierpniu centralnych zawodach amatorskiej radiopelengacji wywalczyła tytuł wicemistrza Polski. Ten sam tytuł indywidualnie zdobyła Krystyna Kolasińska, a łodzianie – Janusz Lewandowski i Zbigniew Rafałko przywieźli tytuł wicemistrzów Polski. W 12 klubach łączności LOK zrzeszonych jest 250 członków. Zajmują się oni krótkofalarstwem i amatorską radiopelengacją.

(ach)

DZIECI Z „MIKULCZYC" WYSTĄPIĄ NA CENTRALNYCH DOŻYNKACH

ZABRZE (HSI). Dziecięcy Zespół Pieśni i Tańca ZHP „Mikulczyce" z Zabrza, do którego należy 60 dzieci z terenu miasta, po powrocie z kieleckiego Festiwalu wziął udział w otwarciu nowej szkoły w dzielnicy Zabrza – Zaborze.

Największe emocje jednak jeszcze przed nimi. „Mikulczyce" bowiem uświetnią swoim występem uroczystości tegorocznych Centralnych Dożynek, które odbędą się w Olsztynie. W tej chwili trwają przygotowania nowego programu. **(ach)**

BEZPIECZNIEJ NA DRODZE

TARNÓW (HSI). Chociaż rozpoczął się nowy rok szkolny jesteśmy rozhasani i jeszcze pod wrażeniem wakacji, i nie zawsze uważamy na znaki drogowe, a przecież ruch na drogach jest bardzo duży. W wielu szkołach harcerskie drużyny MSR organizują spotkania z uczniami, którzy po raz pierwszy zasiedli w szkolnych ławkach. Również funkcjonariusze MO i ORMO przychodzą do szkół, gdzie mają dla młodzieży wykłady z zasad ruchu i bezpieczeństwa na drodze. Harcerze z MSR przekazują swoim młodszym kolegom wiadomości z zakresu prawidłowego poruszania się i przechodzenia przez jezdnię. Młodzież z obozu MSR w Piaskach Drużków pod fachowym okiem funkcjonariusza milicji, a jednocześnie komendanta obozu poznawała zasady ruchu, by je później wykorzystać w pracy swoich drużyn. Wielu harcerzy na obozie zdobyło również karty rowerowe.

Fot. Jerzy Dzikowski

PSIM ZAPRZĘGIEM PRZEZ GRENLANDIĘ

JAPONIA (PAP). Japoński podróżnik Naomi Uemura dokonał niedawno niezwykłego wyczynu: dotarł samotnie, podróżując psim zaprzęgiem, z wyspy Ellesmera (na półn. Kanady) do Bieguna Północnego. Stamtąd skierował się ku Grenlandii, przebył ją prawie całą, kierując się stale na południe, aż dotarł do miejsca, gdzie czekała jego ekipa – w okolice osady Narssarssnah. W czasie podróży z bieguna przez lodowce Grenlandii podróżnik siedmiokrotnie korzystał ze zrzucanej mu z samolotu żywności i części do sań. Jest on pierwszym człowiekiem, któremu udało się pokonać liczącą 3 tys. km trasę z bieguna do płd. krańca Grenlandii.

Uemura jest alpinistą, ma za sobą zdobycie najwyższych szczytów świata w Azji, Afryce i Europie, samotny spływ Amazonką na tratwie, na trasie liczącej 6 tys. km., a także podróż wzdłuż półn-zach. wybrzeża Grenlandii – również na saniach – w 1973 r. **(kl)**

Dziś przedstawiamy

ROW
czyli
Rybnicki Okręg Węglowy

Polski przemysł – tak jak to ma miejsce i w innych państwach – nie jest rozmieszczony równomiernie na terenie całego kraju lecz tworzy skupiska zwane okręgami przemysłowymi. Na powstanie takiego okręgu ma wpływ wiele czynników, wśród których ważniejsze to: tradycja rękodzielnicza danego miejsca, występowanie atrakcyjnych lub łatwo dostępnych kopalin, dogodne ukształtowania terenu itp.

W takim, w naturalny sposób powstałym skupisku ludzi zajmujących się podobnymi pracami, trwa na ogół nieustanny proces rozwoju poszczególnych specjalności, najpierw rękodzieła, a potem przemysłu. Skupienie na niewielkim obszarze wielu fabryk, kopalń, hut, zakładów przetwórstwa – wymaga po pewnym czasie rozszerzenia sieci komunikacyjnych, budowy dodatkowych stacji energetycznych, poprawy zaopatrzenia i tak dalej. W ten sposób powstały i polskie okręgi przemysłowe: najdawniejszy – Staropolski, przedwojenny – COP, czy współczesne, najbardziej znane – Górnośląski, Łódzki, Gdański czy wiele innych.

Jeden z nich, Rybnicki, zwany na ogół Węglowym, gdyż o jego rozwoju zadecydowała głównie obfitość bardzo cennych pokładów węgla tzw. koksującego – znajduje się na południowy zachód od Katowic w okolicach Rybnika. Pierwsze odlewnie metali, kuźnice i młyny powstały tu już w XIII wieku, ale kilkadziesiąt lat temu zaczął się jego prawdziwy burzliwy rozwój. Kopalnie węgla, których obecnie jest tu piętnaście, mają swój rodowod sięgający aż do roku 1792, kiedy to uruchomiona została najstarsza kopalnia na tym terenie – zresztą pracująca do dziś! Pierwotnie ochrzczona nazwą „Hoym Laura" nazywa się teraz „Rydułtowy II".

A więc kopalnie – z których siedem uruchomiono już po II wojnie światowej – stanowią główne bogactwo tych okolic. Czynne są tu jednak i inne, choć wymieniane zwykle na drugim miejscu, zakłady, jak np. budowy i naprawy maszyn górniczych czy sprzętu gospodarstwa domowego. Ostatnimi czasy rozwija się też dość intensywnie przemysł materiałów budowlanych. To tutaj właśnie powstały pierwsze polskie „fabryki domów".

ROW, jako okręg wybitnie górniczy, ma też swoje kłopoty związane z działalnością kopalń. Najbardziej uciążliwe dla środowiska jest tzw. osiadanie gruntów. Na skutek wybierania węgla z podziemnych chodników, powoli ale stale trwa proces obniżania się w różnych miejscach powierzchni ziemi. Np. w okolicach Chwałowic – gdzie osiadanie jest najbardziej intensywne – poziom ziemi obniżył się już o 18 m.

Wiele z takich zapadlisk wypełnia potem woda tworząc sztuczne zbiorniki. Jest ich na terenie ROW już ponad 150 ha.

Okręg ten w dalszym ciągu się rozwija i to stwarza szansę uniknięcia wielu z tych błędów, które doprowadziły do degradacji środowiska na terenach jeszcze bardziej uprzemysłowionych jak choćby sąsiedni Górnośląski Okręg Przemysłowy. Jednym z przykładów takich działań jest np. wybudowanie przy kopalni „Dębieńsko" zakładu odzyskującego sól z wód kopalnianych. O tych sprawach będziemy jeszcze zapewne pisać. (jd)

Polska technika w świecie — **LESZEK KOMUDA**

GDY ROZPOCZYNAŁ SIĘ WIEK STALI...

Ostatnie dziesięciolecia ubiegłego wieku przyniosły burzliwe zmiany w dziedzinie budownictwa. Gwałtowny rozwój produkcji wielkoprzemysłowej wymagał obszernych hal fabrycznych. W tej sytuacji dawniejsze gotyckie sklepienia z cegieł okazały się nieprzydatne jako kosztowne w budowie i niezbyt odporne na wibracje pochodzące od maszyn. Drewniane – również były mało wytrzymałe, szczególnie na wzrastający ciężar urządzeń. Także żeliwo – jako materiał konstrukcyjny – w budownictwie nie spełniło pokładanych w nim nadziei jako zbyt kruche, mało odporne na korozję, a ponadto drogie.

Dopiero przełom, jaki nastąpił w hutnictwie – wynalezienie stali stopowych i ich obróbki poprzez walcowanie – dały budownictwu wymarzony materiał. Nareszcie można było zacząć konstruować lekkie, a równocześnie sztywne dachy wypełnione świetlikami ze szkła, nareszcie można było budować wysoko. Symbolem tej ostatniej możliwości stała się pod koniec XIX w. zbudowana według projektu genialnego francuskiego inżyniera J. Eiffla słynna, będąca ciągle największą dla turystów atrakcją, a zarazem i symbolem Paryża, wieżą jego imienia.

Wieża Eiffla w początkach naszego wieku fascynowała zapewne bardziej niż dziś, ale nie statyków – przedstawicieli dziedziny, której każdy dzień przynosił nowe osiągnięcia. Dla nich była ona już wtedy tylko świadectwem krótkotrwałej minionej epoki...

W Stanach Zjednoczonych uwagę Stefana Bryły, podróżującego po studiach dookoła świata, zwróciły budowane tam budynki o fantastycznej wtedy już wysokości i z tej przyczyny – wcale nie na wyrost – zwane „drapaczami chmur", dziś po prostu wieżowcami. Zainteresowały go szczególnie dwa: już zbudowany Metropolitan Life Building, o wysokości 225 m, (50 pięter) oraz znajdujący się w budowie „Woolworth Building" o wysokości ćwierć kilometra. O tym, że kolos taki mógł zadziwić nawet inżyniera, niech świadczą liczby: na szkielet musiano zużyć ponad 15 000 ton stali, a na wypełnienie tego szkieletu – około 35 milionów cegieł! Tak olbrzymie ciężary mogła wytrzymać tylko stal, i to osadzona na fundamentach z betonu.

Czy przyglądając się wtedy tej imponującej budowli, młody polski naukowiec marzył o tym, by podobną wznieść w swoim kraju?

PO ODZYSKANIU NIEPODLEGŁOŚCI W 1918 ROKU

Zostaje Stefan Bryła naczelnikiem Wydziału Mostowego w Ministerstwie Robót Publicznych, a wkrótce profesorem nadzwyczajnym na Wydziale Budowy Mostów Politechniki Lwowskiej. Ale pierwsze konstrukcje, jakie według jego projektów lub pod jego kierownictwem wtedy powstają, to budynki...

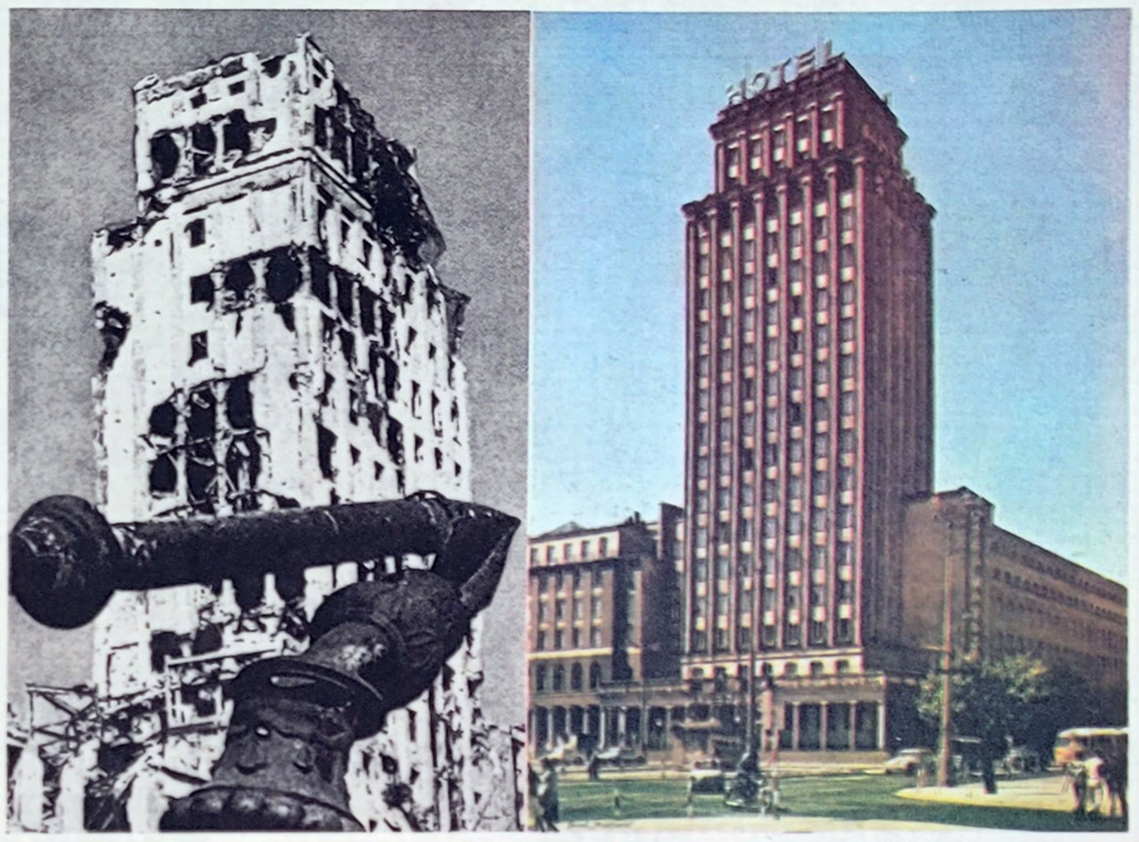

● W 1922 roku – hala montażowa o koronkowym stalowym dachu kratowej konstrukcji – dla Fabryki Parowozów w Warszawie.

● W 1926 roku – Dom Akademicki w Warszawie, stojący do dziś przy placu Narutowicza. Ta dziesięciopiętrowa budowla jest konstrukcji żelbetonowej i była pierwszą próbą wyjścia w górę.

● W latach 1931 – 1933 przy ulicy Świętokrzyskiej powstaje kompleks gmachów Polskiej Kasy Oszczędności (PKO), którego część stoi do dziś – znajduje się w niej Poczta Główna w Warszawie.

● A w 1932 roku przy ówczesnym placu Wareckim – obecnie Powstańców Warszawy – zbudowano 14-piętrowy – co do wysokości wtedy drugi w Europie! – pierwszy polski „drapacz chmur" dla Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Prudential". To dzisiejszy... hotel „Warszawa".

● W Katowicach powstał 12-piętrowy gmach Urzędu Skarbowego, w Krakowie – do niedawna najnowocześniejszy w tym mieście – gmach Biblioteki Jagiellońskiej, w Warszawie – gmach dla kierownictwa Marynarki Wojennej. A ponadto liczne hale i hangary lotnicze o rewelacyjnie dużej rozpiętości dachów.

W tym czasie, gdy pierwsze kroki zaczęło stawiać spawalnictwo stali, Stefan Bryła zwrócił uwagę na możliwość wykorzystania go przy konstrukcjach szkieletowych. Swoje uwagi na ten temat opublikował w artykule pt. **„Spawanie elektryczne żelaza w budownictwie i mostownictwie"**, zamieszczonym w 1927 roku w polskim czasopiśmie **„Przegląd Techniczny"**. Artykuł został zauważony przez specjalistów wielu krajów i w tłumaczeniu ukazał się we francuskiej i niemieckiej prasie fachowej. Aby poprzeć swe poglądy w praktyce, autor zaproponował i zrealizował budowę **pierwszego w świecie mostu o spawanej konstrukcji.**

Okazało się wtedy, że spawanie nie tylko ułatwia wznoszenie konstrukcji, ale i poważnie obniża jej koszty, nawet do 50 proc.! Stefan Bryła opracowuje wytyczne dla spawanych konstrukcji szkieletowych, zatwierdzone w Polsce przez ówczesne Ministerstwo Robót Publicznych. **Były one pierwszymi i jedynymi wówczas w świecie oficjalnymi przepisami na ten temat. Jest więc nasz naukowiec nauczycielem całego pokolenia polskich i światowych specjalistów w dziedzinie konstrukcji stalowych.**

W PRZEWIDYWANIU DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ

Gdy wobec narastania zagrożenia wojennego ze strony Niemiec hitlerowskich zaczęto zwracać uwagę na zagadnienie obrony przeciwlotniczej, Stefan Bryła oddaje swoje umiejętności i tej sprawie. Opracowuje publikacje pt. **„Budownictwo wobec OPL"**, wydaną w 1936 roku. Zwraca w niej uwagę na to, iż zastosowanie w przyszłej wojnie coraz silniejszych bomb burzących spwoduje, że budynki np. z cegły w następstwie wybuchu będą się łatwo rozsypywać. Nie tylko, że nie zapewnią należytej ochrony ludziom znajdującym się w piwnicach wykorzystywanych jako schrony, ale stworzą dodatkowe zagrożenie. A więc tylko budynki o konstrukcji stalowoszkieletowej zapewnią maksymalne bezpieczeństwo ludziom. Podmuch pochodzący od wybuchu bomby lotniczej – twierdził autor – spowoduje najwyżej wyrwanie lekkiej ściany lub stropu, a nie zawalenie się całego budynku. Nie doprowadzi do tego nawet wyrwanie kilku belek. Wąskie, wysokie „drapacze chmur" są trudniejsze do trafienia, a ich konstrukcja wystarczająco odporna na podmuch blisko wybuchającej bomby. Autor podkreślił, iż szkieletowe konstrukcje spawane są bardziej

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

Stefan Władysław Bryła urodził się pod koniec XIX wieku, w Krakowie, dnia 17 sierpnia 1886 roku. Szkołę średnią, jak również studia wyższe, ukończył z odznaczeniem, uzyskując w 1908 roku dyplom inżyniera Wydziału Inżynierii Lądowej i Wodnej Politechniki Lwowskiej. Po roku uzyskał tytuł doktora nauk technicznych, zaś w następnym – habilitował się na docenta statyki (wytrzymałość konstrukcji).

Czarodziejska pompka pana Kleksa

Byłam niedawno w tak zwanym terenie zasięgnąć języka – co ciekawego zdarzyło się podczas ostatnich wakacji w chorągwi, jak harcerze uatrakcyjnili swój letni wypoczynek?

Pytając, nie spodziewałam się, że usłyszę na przykład: na jednym z obozowisk wylądowało UFO i zielone ludziki ze skośnymi oczkami i czarnymi ząbkami (tak podobno te istoty wyglądają) dały specjalny program na wieczornym ognisku. Potem rozbiły kosmiczny namiot i mieszkały w nim do końca obozu; a w zieloną noc wysmarowały wszystkich zieloną pastą i zaprosiły do swojego wehikułu na kilka okrążeń naszej starej Ziemi... Marzenia, rojenia dziennikarza. A rzeczywistość? W myśl zasady kto pyta, mniej błądzi – zapytałam o ostatnią akcję letnią w komendzie chorągwi.

Odpowiedz przeszła moje najśmielsze oczekiwania. Oto już w te wakacje, jako pierwsi, harcerze z S. włączyli się w akcję zagospodarowania Wisły. Podczas trwania obozu w D. wodniacy sporządzili dokładny rejestr zanieczyszczeń rzeki na odcinku 40 km i przekazali go wojewodzie. Przez cały czas patrolowali rzekę, by zapobiec wysypywaniu do niej śmieci. Tam, gdzie nie mogli dopłynąć kajakami, jeździli konno. Był to więc obóz wodno-konny.

Już sobie wyobraziłam, jak to dzielni wodniacy przesiadają się na rumaki, by strzec czystości królowej naszych rzek. Jak zaskakują, nie spodziewających się niczego, wstrętnych brudasów, z wody i z powietrza, to jest z końskiego grzbietu. Pełna entuzjazmu (to będzie materiał-bomba!) wybrałam się do S.

Na miejscu okazało się że: po pierwsze – wodniacy patrolowali nie 40, a 5 km rzeki, po drugie – o swoich spostrzeżeniach informowali nie wojewodę, a dyrekcję wodociągów w najbliższym miasteczku, po trzecie – konno jeździli, owszem, ale tylko w pobliskiej stadninie, po czwarte – sporządzenie rejestru zanieczyszczeń zaplanowali na następne wakacje.

A poza tym drużyna jest rzeczywiście fajna i zgrana. Każde wakacje wodniacy z S. mają udane. Niestraszne im kilkusetkilometrowe spływy. Ot i wszystko!

Właściwie nie powinnam być zaskoczona. Nieraz w listach przychodzących do redakcji przedstawiane są fakty i zdarzenia wspanialsze i piękniejsze niż w rzeczywistości. Zupełnie jakby nadawcy listów korzystali z czarodziejskiej pompki pana Kleksa (pamiętacie? – dzięki niej można było z całkiem maciupeńkiej rzeczy zrobić olbrzymią). Jak się przekonałam różne są motywy przysyłania takich informacji. W jednym przypadku chodziło na przykład o zachęcenie dziennikarza do przyjazdu, by na miejscu pomógł załatwić trudną sprawę, o której nie było w liście ani słowa.

W tym konkretnym przypadku trudno nawet posądzać wodniaków o podanie nieprawdziwych danych. Po prostu – informacje o akcji letniej przechodziły przez kilka kolejnych, coraz to ważniejszych w hierarchii jednostek. W każdej z nich dokonano „twórczego" przetworzenia, a skutek był właśnie taki jak opisałam. Czasami mam wrażenie, że na łączach między poszczególnymi jednostkami grasują krasnale wyposażone w czarodziejskie pompki pana Kleksa. Tu podpompują trochę, gdzie indziej więcej. Czasami, gdy nie ma się czym chwalić informację po prostu „upompowują", by była malutka. Szalejką na tych łączach i nie ma na nich rady. Lecz, czy teraz, gdy odwiedzają nas podobno istoty z kosmosu wypada jeszcze wierzyć w krasnoludki?

ANNA PACIOREK

REDAKCYJNA POCZTA

Dziewczyny też są winne!

Kiedy piszecie o niezgranych klasach, to zawsze winni są temu chłopcy. U nas jest odwrotnie. Jesteśmy uczniami szkoły baletowej. Długo już jesteśmy razem, a dziewczęta ciągle nie chcą nas polubić. Gdy odszedł nasz profesor od klasyki i nie było wiadomo, kto nas będzie uczył, to dziewczęta błagały swoją nauczycielkę, aby nie zajmowała się nami. Twierdzą, że jesteśmy niezdarni i źle wychowani. Dziewczęta zapowiedziały nam, że nigdy nas nie polubią, choć je o to prosiliśmy. My, chłopcy, postanowiliśmy, cierpliwie czekać, aż dziewczęta „wydorośleją".

„Optymiści"

Jestem uczennicą II klasy Liceum Medycznego w Gdyni. Przygotowuję się do zawodu opiekunki dziecięcej. Chętnie nawiążę korespondencję z dziewczętami, które planują podjąć naukę w tej szkole do której uczęszczam.

Bogumiła Tulko
ul. Pomorska 90a m 89
80-333 Gdańsk – Oliwa

To był błąd?

Piszę do Was, bo sama nie potrafię wymyśleć niczego sensownego. Rok temu poznałam chłopaka i bardzo go polubiłam. Myślę, że on mnie też. Wszystko było dobrze, dopóki nie okazałam mu tego, że mi na nim zależy. Od tej chwili zmienił się zupełnie. Jest nadal miły i uprzejmy, ale nie dąży do tego, aby jak najdłużej być w moim towarzystwie. Na pewno powiecie, że mam być wesoła i miła. Jestem właśnie taka, ale to nic nie zmienia. Poradźcie, co mam robić. Czy ja popełniłam błąd, a jeżeli tak, czy nic się nie da zmienić?

Gabrysia

Jak się uczyć?

Jestem uczennicą VIII klasy. Nigdy nie uczyłam się bardzo dobrze, ale w tym roku chciałabym mieć jak najlepsze oceny. Marzę o zawodzie pielęgniarki, a wiem, że do liceum medycznego trudno się dostać. Łatwiej postanowić, niż wykonać, bo ja... nie wiem, jak trzeba się uczyć. Proszę Was, potraktujcie ten list poważnie. Do tej pory uczyłam się byle jak. Teraz naprawdę chcę się przyłożyć do nauki. Największy kłopot mam z geografią i językiem rosyjskim. Jak mam wprowadzić w życie moje postanowienie?

Tamara

OD REDAKCJI: Poruszyłaś, Tamaro, bardzo ważny problem. Dobre oceny są często efektem nie tylko zdolności i pracowitości, ale również dobrej organizacji pracy i odpowiednich metod uczenia się. Zapraszamy naszych czytelników do dyskusji na temat: jak się uczyć? Razem z Tamarą czekamy na listy od tych, którzy mają własny system uczenia się i chcieliby podzielić się swoimi doświadczeniami. (ds)

GRUNT TO DOBRY START

Ostry! Od samego początku szkoły, bez odkładania „za tydzień wezmę się do nauki, bo jeszcze można trochę pobumelować". Fakt. Jeszcze nie gonią terminy, klasówki, ostre odpytywania i dlatego... warto na spokojnie wykorzystać ten czas, by nie robić zaległości. Dobry start to połowa końcowego sukcesu. Wprawdzie nikt jeszcze nie myśli o końcu semestru czy końcu roku szkolnego, ale...

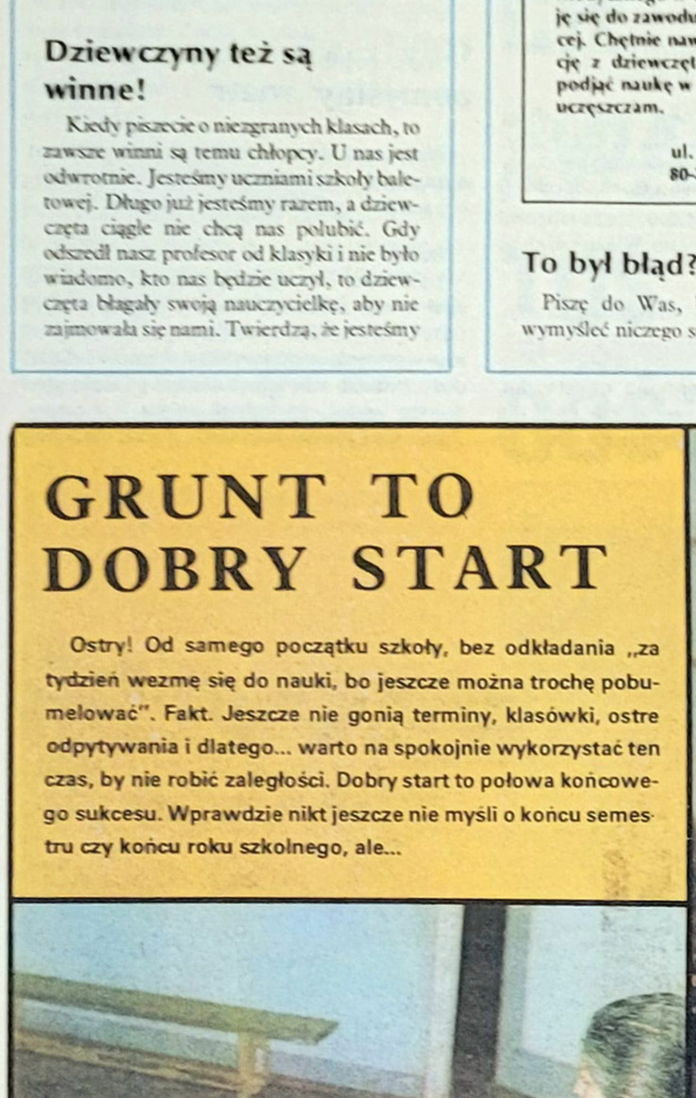

Zdjęcia
Kajetana Adamowskiego
i Jacka Łopuszyńskiego

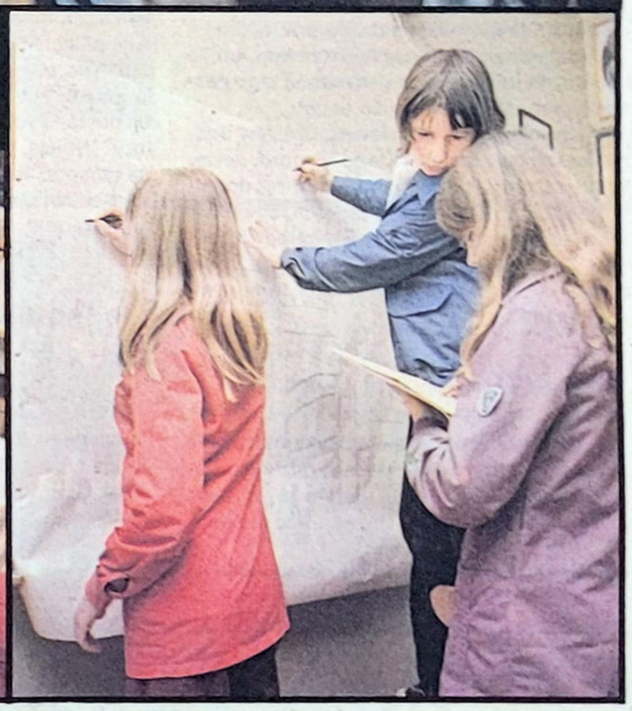

Trzeci po przesiadce pociąg i sześć godzin jazdy. W najbliższej perspektywie – jeszcze trzy. Powoli zaczynałem mieć tego wszystkiego dość. Cały zapas prasy na drogę przeczytałem, krzyżówki rozwiązałem, a spać wcale mi się nie chciało. Wreszcie jakaś stacja, a na niej dwóch harcerzy z gitarą, w niewielkiej grupie ludzi. Czy wsiądą do mego wagonu? Oj, żeby wsiedli – w duchu bardzo pragnąłem tego.

– Patrz, tu jest „dla palących", wsiadamy – usłyszałem przez otwarte okno. Po chwili miałem upragnionych harcerzy w wagonie. Usadowili się w sąsiednim rzędzie siedzeń – trzy metry ode mnie. Po chwili poczułem dym papierosów, Tak, to moi upragnieni postanowili na dobry początek podwędzić sobie troszkę płucka. Spojrzałem jeszcze raz, czy aby to naprawdę harcerze (bo teraz ciuchy w kolorze mundurów niezwykle modne). No, jasne – krzyż, mundur, kilka belek – nie ma wątpliwości. Jeden z nich trzymał gitarę. Próbował. Może chociaż umieją grać – pomyślałem.

REPORTER Świata Młodych

Gdy już mam gitarę

„Gdybym miał gitarę, to bym na niej grał..." – często śpiewają harcerze przy ognisku. A gdy już ci harcerze (mowa o tych z przedziału) mieli gitarę, to grali na niej – a jakże i to nawet wcale nieźle, ale jeżeli chodzi o śpiewanie... Tak, głosu moi znajomi z przedziału nie mieli. Wiele jajek musieliby wypić, by tego ich „śpiewania" można było spokojnie słuchać. Chrypiąc i okrutnie fałszując zaczęli od „czarny chleb, czarna kawa...", potem zawyli coś o jakimś więźniu, co to umierał w celi na swym posłaniu, „balladę hipisów" i.. na chwilkę przestali. Wprawka, za chwilę zaśpiewają coś lepszego – pomyślałem. I owszem. Zaśpiewali coś „lepszego", bo bardziej „pikantnego". Po wagonie niosły się teraz wraz z żywiołową melodią przekleństwa i piosenki o przeróżnych alkoholach, chuligańskich wybrykach i takich sobie dziewczynach lekkich obyczajów.

Nie wiem, jak odbierali ten „koncert" pozostali w wagonie, ale mnie było jakoś głupio, no i przede wszystkim wstyd za nich, nie mówiąc już, że się zawiodłem, bo myślałem, że przy harcerskiej piosence prosto z obozu szybciej dojadę do celu.

Nie spodziewałem się, że ta długa i nudna początkowo podróż będzie pełna niespodzianek i zaskoczeń. Pierwszym byli owi „harcerze" (piszę w cudzysłowie, bo trudno ich nazywać harcerzami, mimo iż mieli mundury). Drugim były dziewczyny – może trzynastoletnie, które weszły do „rozśpiewanego" wagonu. Weszły i zaraz zaczęły grać w karty. Jak stare hazardzistki, wspomagając przy tym swoim śpiewem wyjących sprośne piosenki harcerzy.

Z utęsknieniem wypatrywałem stacji docelowej. Wreszcie. Wysiadłem z pociągu bardziej zmęczony towarzystwem niż jazdą!

STANISŁAW GAZDA

W ten październikowy dzień 1954 r. podróżni na stacji kolejowej w Tarnowskich Górach byli świadkami sceny iście teatralnej.

Zatrzymuje się pociąg, otwierają się drzwi, z jednego z wagonów wyskakuje na peron mały chłopak i... ciągnie z wagonu jakiś sznurek. Ciągnie – i nic, zapiera się nogami, natęża wszystkie mięśnie. I dalej – nic. W końcu, po kilkunastominutowych zmaganiach w drzwiach ukazują się... ogromne uszy. A potem – głowa... ośla. Po chwili jest i cały osiołek wypchnięty z wagonu przez drugiego chłopca. Osiołek trzęsie głową, rży, ale za nic nie chce się dać chłopcom ruszyć z miejsca. Podróżni, choć zainteresowani niezwykłą sceną,

EWA KŁOSIEWICZ

MACIUŚ ZE STAREGO ALBUMU

rozchodzą się w końcu. Na opustoszałym peronie zostaje dwóch chłopców mocujących się z upartym osiołkiem. Hm, praktyczna lekcja prawdziwości przysłowia: „uparty jak osioł".

– Z Tarnowskich Gór do Bobrownik jest 3 kilometry – opowiada druh Jerzy Fent przeglądając zdjęcia w starym albumie – a szliśmy wtedy tam z Maciusiem prawie pół dnia.

Druh Jerzy Fent – dzisiaj harcmistrz Polski Ludowej, instruktor Komendy Hufca ZHP w Tarnowskich Górach – trafił do szkoły w Bobrownikach w 1950 roku jako nauczyciel wf. Po kilku miesiącach pracy przyjechał do Bobrownik instruktor Zarządu Powiatowego Związku Młodzieży Polskiej i zaproponował mu założenie w szkole drużyny Organizacji Harcerskiej. Do tamtej pory w Bobrownikach harcerstwa nie było.

Stary album. Pierwszy wpis z datą 15 września 1950 r. *„Rozpoczynamy pisanie kroniki. Chcemy notować w niej najważniejsze wydarzenia z życia naszej drużyny"*. Kolejny wpis, 6 października tego samego roku: *„Jako bohatera naszej drużyny obraliśmy sobie Ludwika Waryńskiego."*. Wiele kartek ma ten album, wiele w nim zapisków. Są i zdjęcia. Wyblakłe już, ale czytelne.

Na przykład to – przed szkołą ustawiona zastępami cała, ponad 200-osobowa, drużyna. Każdy zastępowy trzyma proporczyk, widać, że gotowi są do wymarszu. Na tzw. marsz jesienny. Rada drużyny postanowiła na jednym ze swych pierwszych spotkań, że wszyscy przystąpią do zdobywania odznaki BSPO (Bądź Sprawny do Pracy i Obrony) – w czasie tego marszu osiągnęli czasy lepsze od wyznaczonego limitu. Pierwszy sukces, pierwsza radość. Sportowych sukcesów drużyny z Bobrownik ręka kronikarza zanotowała na kartach albumu więcej – w końcu przecież przewodnik drużyny jest nauczycielem w-f!, ale pierwszy liczy się najwięcej. Tym bardziej, że dobry początek oznaczał i dobry koniec – za rok szkolny 19 50/51 uzyskali w zdobywaniu BSPO I miejsce w skali ogólnopolskiej. Dowiedzieli się o tym z... radia i gazet, dopiero potem przyszło specjalne pismo i nagroda – 1000 zł. Było to wówczas bardzo dużo

CIĄG DALSZY NA STR. 4

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

pieniędzy, rada drużyny zaczęła dumać, jak je najlepiej wykorzystać. A chciało się – wszystkiego, planów mieli na co najmniej... 20 tysięcy!

Futerko puszyste bardzo. Mądre ślipki, sterczące uszy, w pyszczku – źdźbła słomy. Ktoś uwiecznił na zdjęciu włoską królicę, która niesie słomę na gniazdo. Dobre króliki mieli, z rodowodami, długo starali się o ich zakup w Związku Hodowców w Bytomiu. Zgłosili się chętni do pracy w kółku młodych hodowców, wybrali zarząd kółka. Być w zarządzie, to zaszczyt był dla każdego chłopca i dziewczynki, ale i praca. Odpowiedzialna. Takie piękne i drogie króle! Czekały już na nie własnoręcznie wykonane przez harcerzy klatki, każda ze ściekiem, na każdej umieszczono tabliczkę z wymalowanym numerem i rodowodem. Tak zaczęła się hodowla.

EWA KŁOSIEWICZ

MACIUŚ ZE STAREGO ALBUMU

Później, w 1953 r., do króli doszlusowały nutrie. Ktoś przeczytał o takiej hodowli w gazecie, postanowili też spróbować. Wybrali się na kilka wycieczek. Do Boruszowic, gdzie oglądali prywatną hodowlę nutrii, do Stolarzewic, do Radzionkowa. Pierwsze 13 sztuk nutrii kupili w państwowej hodowli, gdzieś pod Opolem. Pieniądze mieli (zarobione na królikach), trochę dołożył powiat. Przywieźli je 15 grudnia. Na początku klatki z nutriami umieścili w szopie, dopiero wiosną rozpoczęli budowę odpowiednich klatek ze specjalnymi basenami.

Zanim nadeszła jednak wiosna...

– Jadą?! – coraz to wychylał się ktoś przez okno.

– Coś ty, dopiero za jakieś dwie godziny tu będą!

– Jejku, żeby szybciej!...

Akurat drużyna była pod wrażeniem przeczytanej „Wesołej rodzinki". Nie tylko oni zresztą, pamiętam, że ja też – tak się składa, że piszę o swoich rówieśnikach – fascynowałam się wtedy tą książką, napisaną bodajże przez Nosowa. O perypetiach dwóch chłopców, którzy postanowili założyć w domu inkubator, czytałam kilkanaście chyba razy. Tylko, że u mnie skończyło się na czytaniu, a harcerze z Bobrownik mieli okazję sami spróbować jak „się to je". W nagrodę za sukcesy hodowlane otrzymali bowiem inkubator.

Właśnie czekają niecierpliwie, aż go przywiozą. Już jest. 12 marca włożyli do niego 150 kurzych jaj. Trzy tygodnie oczekiwania, bynajmniej nie bezczynnego – 4 razy dziennie trzeba było przeciągać specjalne drążki, żeby jajka poruszać, i 1 kwietnia... Łup-łup – pękają skorupki i wyłażą z nich żółte, maleńkie kurczaki. 118 się ich wylęgło za pierwszym razem. 40 zostawili sobie do dalszej hodowli, resztę – sprzedali. Za drugim razem włożyli do inkubatora jajka indycze, perlicze i kacze. Ale gdakania było latem na szkolnym podwórku.

Przyjechali wtedy filmowcy z Kroniki Filmowej. Cały tydzień zostali w Bobrownikach. Powstał 20-minutowy bez mała dokumentalny film o życiu drużyny. Pozowały do zdjęć króliki, pozowały

DOKOŃCZENIE NA STR. 5

– A PRZECIEŻ TO TAKA WIELKA WODA...

Wędkarz mieszkający przy Bulwarach Zjednoczonej Klasy Robotniczej we Włocławku ma z domu na Wisłę znakomity widok. Patrzy przez okno i już wie: będą dziś ryby, czy nie będą. Okiem wyszkolonym przez wieloletnie doświadczenie ocenia barwę wody, obfitość pianki spływającej z „Celulozy", i zawsze ma nadzieję, że z tej odległości i rybę dostrzeże. Dziś nic szczególnego nie widział, przyszedł sobie z wędką nad rzekę ot, tak tylko.

Przysiadłem obok. Wietrzyk niósł od Wisły zapach stacyjnej wygódki. Spławik tkwił na wodzie bez ruchu. Nie biorą...

– Nie to, żeby ryb wcale nie było. Prawda, wytrute, ale kto ma cierpliwość siedzieć – zawsze coś wysiedzi. Raz to nawet patrzę – łosoś! Aż do brzegu podpłynął, już – już, a ręką bym go złapał, taki był jakiś bezwładny. Może tam, na zaporze, go przygniotło...

Zapora... osiem lat temu pod Włocławkiem przegrodzono Wisłę. Popłynęły w Polskę pierwsze megawaty z nowo zbudowanej elektrowni. Za tamą powstało wielkie, ciągnące się aż do Płocka sztuczne jezioro. Na uregulowanym odcinku rzeki niemal do zera zmalało niebezpieczeństwo powodzi. Poznikały z koryta wyspy, a w wielu okolicznych studniach podniosło się lustro wody.

Zmienił się krajobraz – to jasne. Ale nie wszystkie zmiany są tak łatwo uchwytne. Nie wszystkie mogły być w stu procentach przewidziane. Wreszcie – nie wszystkie cieszą.

Wymoklisko

Wieś Smólnik leży na niskim brzegu Wisły, w okolicy, gdzie po spiętrzeniu rzeki powstało 2400 ha depresji. Na oko – wieś jak wieś, piaszczyste pola, między nimi – skrawki łąk.

Miejscowy rolnik pokazuje mi, gdzie jeszcze niedawno stała woda. Wielka kałuża sięgała aż po budynki, zalała drogę, część kartofliska, pokryła całe pastwisko. Co to zresztą za pastwisko – bagienne turzyce wysokie na pół metra, między nimi – błoto.

– Krowa tu, panie, nie chce iść, bo smród. Tylko dzieciaki całą zimę mają radość ze ślizgawki. Jak Wisłę podnieśli – mokro u nas i mokro. Chcesz własną drogą przejeżdżać – za łopatę chwytaj, rowy dookoła kop, bo ile tak można jeździć po sąsiedzkim. Z tego pastwiska grosza nie ma, tylko nerwy...

Naczelnik gminy Włocławek, Czesław Bednarowski, przyznaje: – Kłopoty spore, narzekania jeszcze większe. Tu nam zbiornik dodatnio nie zadziałał – mówi i zachęca, by porozmawiać jeszcze z prezesem Gminnego Komitetu ZSL, Janem Dębskim, który dużo się zajmował sprawami wody i zna te sprawy „od kuchni".

Jan Dębski:

– W wielu wsiach łąki są systematycznie zalewane, a to przecież tereny, gdzie należałoby stawiać na hodowlę. Były w tej sprawie zebrania, wizyty specjalistów, prace melioracyjne zaplanowano na 1977 rok. A na razie... Niech pan pojedzie do Wistki, Adaminowa czy Smólnika i sam zapyta...

Rolnik ze Smólnika:

– Kartofli to ja wysadziłem 11 metrów, zebrałem 9. Ot, interes...

Przez owo nieszczęsne pastwisko, na które krowa nie chce spojrzeć, właśnie przekopano rów. Chyba tylko dla przysłowiowego świętego spokoju, bo... bez połączenia z innymi rowami. Czyli – bez sensu. Patrzę na to i myślę: czy tu rzeczywiście wszystkiemu winien zbiornik?

– Teraz, każdy komu woda zaleje pole – mówi inż. Mieczysław Różycki, zastępca kierownika Inspektoratu Eksploatacji Rzek, kierującego stopniem wodnym – kto ma u siebie jakieś wymoklisko, obojętnie z jakiego powodu, do nas wali po odszkodowanie. I płacimy, ale nie wszędzie. Mamy po prostu rozeznanie, gdzie zbiornik wyraźnie szkodzi. Zresztą dawniej to były bardzo suche ziemie. Miejscami – półpustynia. Potrzebowały wody. Teraz jest jej więcej. Ale czy ktoś przyzna, że mu się polepszyło?

Więc zbiornik nie tylko szkodzi. Przyznają to zresztą sami rolnicy. Któryś z moich rozmówców powiedział: gdyby teraz zalew spuścić, byłby pewnie jeszcze większy krzyk...

Mała żegluga na wielkim jeziorze

Koszty budowy stopnia i zbiornika zwróciły się w sześć i pół roku. Szybko. Bowiem stopień wodny – to przede wszystkim energia. Wiceprezydent Włocławka, Jadwiga Biedrzycka, w odpowiedzi na pytanie, co przyniósł miastu stopień wodny, wymienia: przejazd drogowy przez Wisłę – w przyszłości będzie to obwodnica. Osiedle mieszkaniowe pozostałe po budowniczych. Przedsiębiorstwo „Hydrobudowa", które dzięki tej inwestycji sprowadziło się do miasta i już pozostało. To na pewno. A poza tym oczywiście – żegluga.

Ciekawe, nikt z moich rozmówców nie mówił o tym chętnie. Owszem, zalew stanowi 54-kilometrowy odcinek drogi wodnej. Kursuje tu stateczek wycieczkowy, kursują barki. Ale wszystkiego przewozi się 300 tys. ton ładunków rocznie. Mniej więcej tyle, ile trzeba dostarczyć drewna do włocławskiej „Celulozy". Koleją, oczywiście. Prawdziwa żegluga na tym odcinku Wisły jest więc melodią przyszłości. Wielkie jezioro za tamą – z miasta niewidoczne – wciąż jakby żyło odrębnym, własnym życiem...

Doskonale za to widać zalew z Dobrzynia

Rozlewa się szeroko u stóp miasteczka, położonego na wysokim brzegu, który spiętrzona w zbiorniki woda zaczęła podcinać.

Zjeżdżali tu w tej sprawie wcale licznie specjaliści, jeden na tych skarpach zrobił nawet doktorat. A prezes Dębski opowiadał mi o chałupach, co zjechały w dół.

Naczelnik miasta i gminy, mgr Andrzej Rutkowski, wspomina, że alarm był spory. Mówiło się o „drugim Sandomierzu". Poleciały do wody skrawki sadów, osunął się fragment tzw. Zamkowej Góry, ale zagrożone budynki w porę ewakuowano. Niektóre, choć puste, stoją do dziś.

Miasto znalazło się w strefie zagrożenia. Jej granica pod wpływem zmiennych ustaleń i decyzji wędrowała z ulicy na ulicę. Zakazano budowania. Dla sennego miasteczka, potrzebującego rozwoju, decyzja ta, choć nie pozbawiona słuszności, stanowiła cios. W 1976 r. cofnięto ją. Procesy osuwania się gruntów – ustały. Więc teraz budują w przyspieszonym tempie, nadrabiając zaległości. Dobrzyń minął szczęśliwie kolejny zakręt swych dziejów. Chyba pora, by wiślany zbiornik, który jakiś czas zwalniał rozwój miasta, pomógł teraz rozwój przyspieszyć.

Sport i wypoczynek nad wodą stwarzają tylko szansę. Naczelnik miasta mówiąc o niej wyraźnie się ożywia...

Gdy zawieje pomyślny wiatr

Wszyscy, z którymi rozmawiałem na temat wypoczynku, od razu pytali: „A w Zarzeczewie już pan był? Widział pan ośrodek?"

Byłem, widziałem.

Niedaleko od Włocławka wcina się w wysoki brzeg zatoczka, długa i wąska niczym fiord. Tu, w zaciszu mieści się ośrodek sportów wodnych włocławskich „Azotów". Co tu dużo mówić – świetny. Ale też właśnie stąd dobrze widać, że jednak zalew jest pusty. Zjawi się czasem żaglówka. Ponoć zjeżdżają na obozy harcerze. Ale w sumie zalew i jego brzegi – te niskie, sąsiadujące z lasami, i te wysokie, zapewniające widoki – stanowią wodniacko-turystyczny ugór.

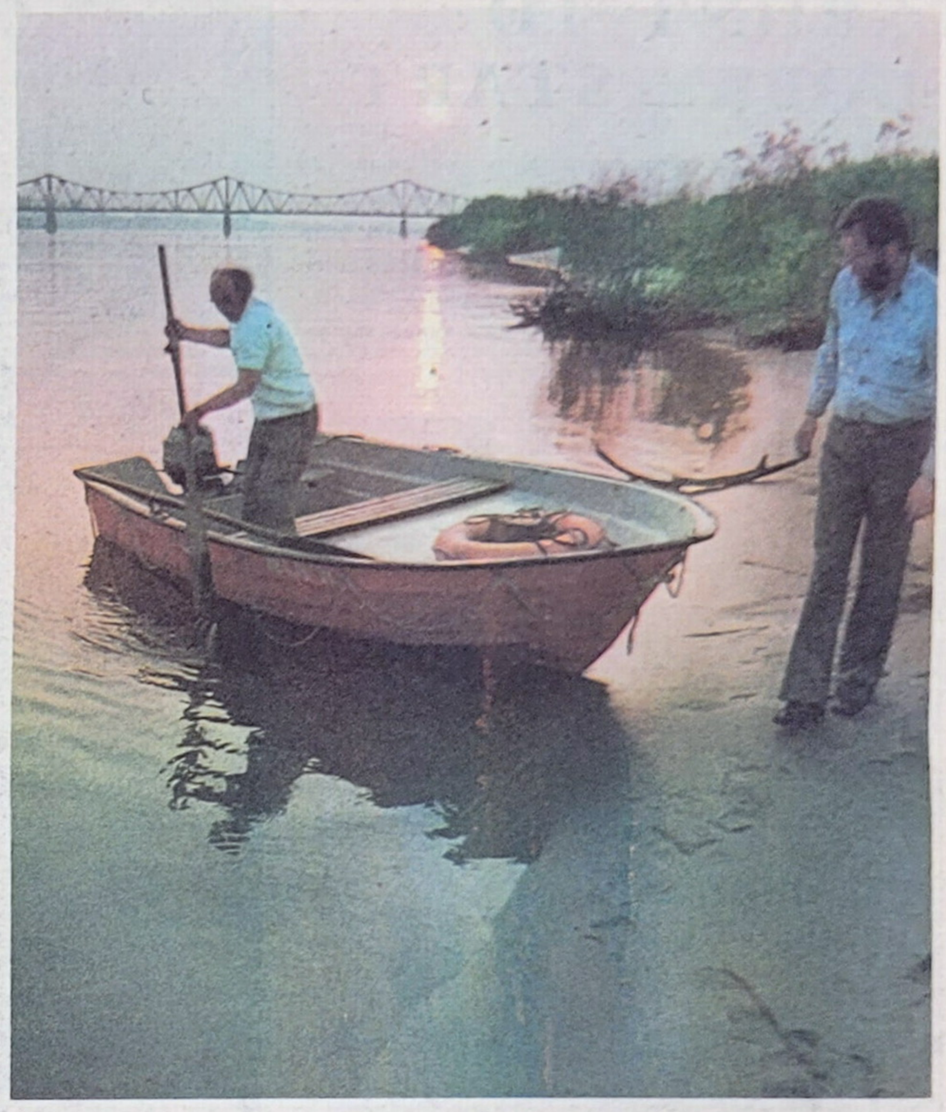

Mówi inż. Różycki:

– Przyznam, że sami trochę stopujemy budowę ośrodków. Pas gruntu wzdłuż brzegu, który podlega zarządowi stopnia, jest narażony na różne wpływy zbiornika – okresowy zalew, wahania poziomu wody, zimą – na poprzeczne ruchy kry. Wydzierżawić jakiemuś zakładowi – mogą powstać kłopoty. A potem jeszcze dzierżawca przyjdzie po odszkodowanie... Ożywienie rekreacyjne popieramy jak najbardziej, ale tylko oparte o jeden plan zagospodarowania całego zbiornika, a nie o dorywczą zabudowę.

Najważniejsze, że ostatnio w Wiśle pod Włocławkiem woda jest jakby czystsza. Mówił mi naczelnik włocławskiej gminy Czesław Bednarowski, że zgłasza się szereg zakładów, chcą budować ośrodki, a gmina proponuje pod zabudowę spory obszar kiepskich gleb nad zalewem. Są chętni aż z... Łodzi. Powstaje szczegółowy plan rekreacyjnego zagospodarowania gminy. Zatem – coś się rusza...

Ma swoje propozycje naczelnik Rutkowski z Dobrzynia: – Stanica harcerska w starym młynie na wiślanej skarpie, ale przede wszystkim ośrodek rekreacji i sportu. To dla miasta wielka szansa. Żeby tylko Wisła była czysta, bo teraz wszelkie plany ośrodków trzeba zaczynać od rozmów z inspektorem Sanepidu.

Żeby była czysta... Marzy o tym i wędkarz z bulwaru. Nic dziś nie złowił: „A przecież to taka wielka woda..."

TOMASZ KŁOSOWSKI
Fot. **Jan Wichrowski**

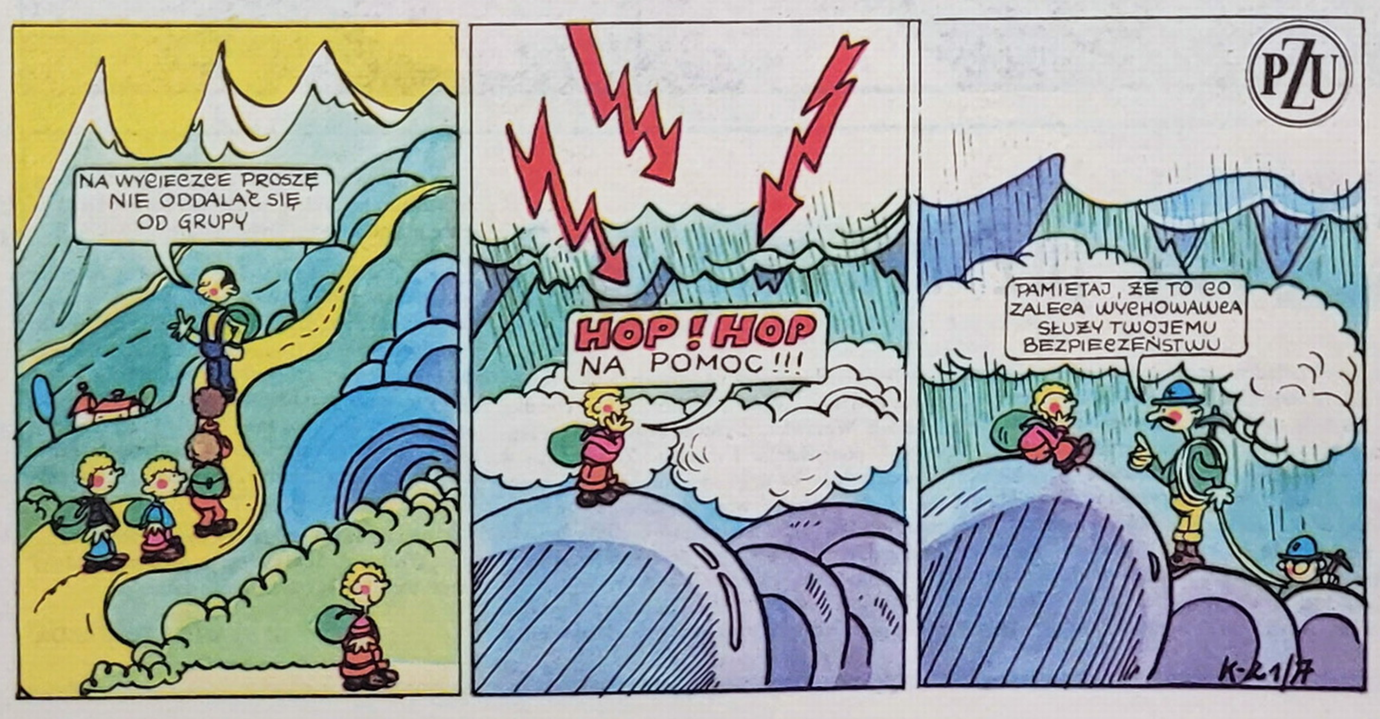

Andrzej Barchacz pisze z Bułgarii

RYTM CIĘ ZWABIŁ? TOŚ GOŚCIEM

Mój namiot stał nad urwistym, skalistym brzegiem Morza Czarnego, niedaleko bułgarskiego rybackiego miasteczka Achtopol, około 15 kilometrów od granicy tureckiej.

Była chyba już 10 wieczorem; układając się do snu słuchałem, jak morze gadało z potężnym brzegiem. Spokojne fale przyboju sapały i dudniły monotonnie. W gęstych nadmorskich krzewach i trawach grały duże zielone świerszcze.

I oto do tej muzyki doszły nowe dźwięki: czy to ktoś stuka młotkiem do stojących w pobliżu drewnianych budek? Zaciekawiło mnie to. Przez pofalowany teren przedzierając się przez gęste krzewy jeżyn i dzikiej róży na grzbiet wzniesienia zobaczyłem starą wieś, parterowe domki. Na sporym placu płonie olbrzymie ognisko, a wokół niego – w dużym kręgu tańczą ludzie. Przygrywa czterech muzykantów: jeden wali w bęben, drugi uderza w struny nieznanego mi instrumentu, trzeci gra na klarnecie, czwarty na dudach. W środku kręgu, przy samym ogniu, siedzą kobiety w kolorowych chustach na głowie. Szał tańca, kiedy zapominają o codziennych sprawach i oddają się żywiołowemu rytmowi! Co chwila z kręgu podbiega do ogniska coraz to inny mężczyzna: przy ostrym dźwięku dud i łoskocie bębna daje popis: „żongluje" ciałem i wije się jak syczące płomienie. Taniec ognia.

Stoję nie opodal. Nikt mnie nie spostrzega. Zbliżyć się? Przecież jestem tu obcy. Ale kim są oni? Ciekawość bierze górę – idę ku grupce mężczyzn, zatrzymuję się tuż za nimi. Krępy starszy człowiek odwraca się nagle.

– Dobry wieczór – mówię. W blasku płomieni widzę jego twarz: wąsy, wystające kości policzkowe, siwe włosy.

– Skąd jesteś? – pyta. Po chwili otoczyli mnie inni. Obserwuję ich bacznie, ale nie dostrzegam wrogości, a raczej zainteresowanie przybyszem.

– Jesteśmy Cyganami.

– Tak, widzę to i cieszę się, że tu jestem. Zwabiła mnie aż znad morza wasza muzyka...

– Muzyka! – ucieszyli się Cyganie, bo przecież to ich żywioł. – Będziemy bawić się do świtu, bo żegnamy dziś chłopaka z naszej wsi – idzie do wojska. A skoro do nas przyszedłeś i powiadasz, że rytm cię zwabił – toś gościem naszym. Stawaj z nami do kręgu!

Z początku plątały mi się nogi, bo tańczyliśmy nieznany w Polsce taniec „choro". Wprawdzie to bułgarski taniec, ale w jakimż to kraju Cyganie nie umieliby czuć po swojemu muzyki? A flamenco w Hiszpanii? Oto i „choro" w cygańskim wykonaniu: świat wiruje mi w oczach i czuję, jak wpadam w trans, kiedy – trzymając się za barki – krąg ludzi sunie raz w jedną, raz w drugą stronę; ku ogniowi i od ognia. Z przytupem i podskokami.

Ale jakże przekazać wam wrażenia słowem pisanym? Sami musicie to zobaczyć.

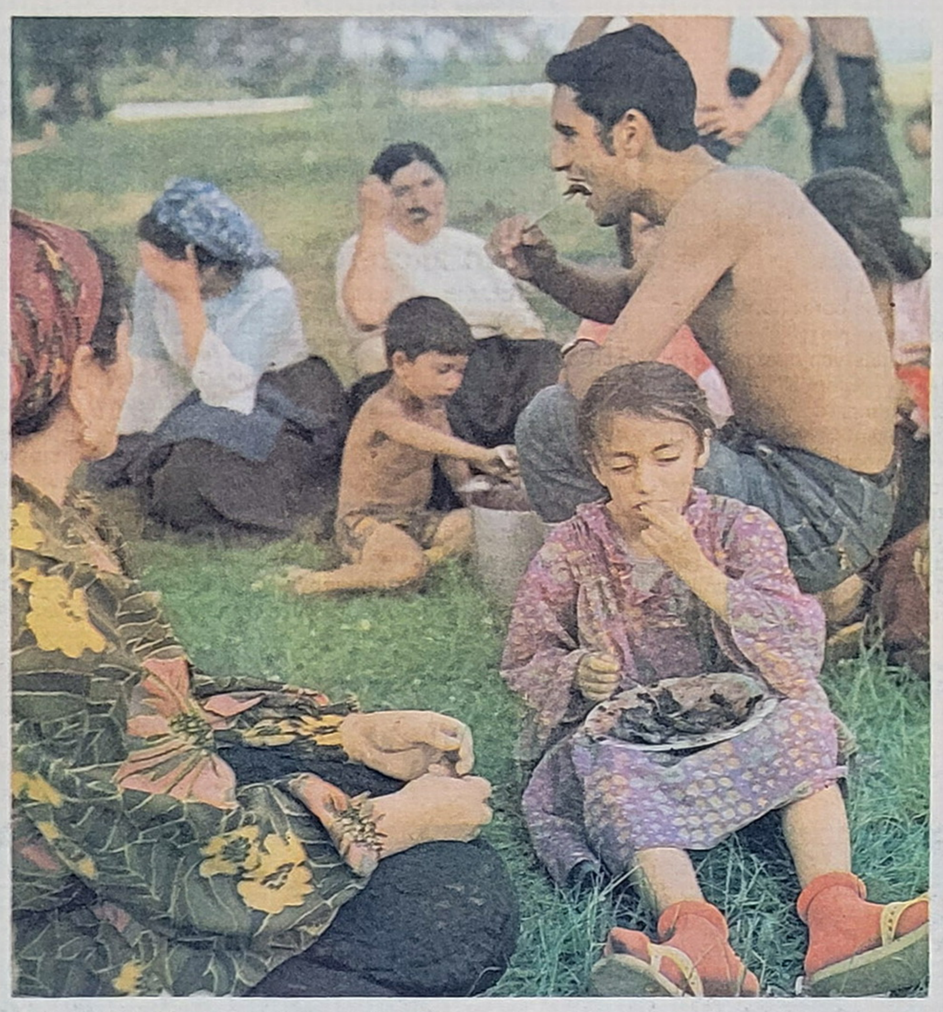

Dzieci i dorośli – zawsze razem i zawsze w plenerze

Jordan i Josif – dwaj sympatyczni młodzi ludzie – ciągną mnie do dębowego stołu ustawionego przy ognisku. Kobiety stawiają przed nami miski z pikantną zupą z fasoli, papryki, czosnku, pomidorów, octu winnego i oliwy. Gruba pajda chleba w garść i – jazda! – wiosłuję łychą w tej smakowitości. Po chwili zjawia się czerwone wino i lemoniada. Miesza się w szklankach obydwa te napoje pół na pół.

– Jek, du, trim, czahor, pancz – Cyganie uczą mnie liczyć w ich języku. Opowiadają, że zanim się osiedlili w tej wsi, przybyli z różnych stron: jedni z Rumunii, inni z różnych okolic Bułgarii, a co bardziej uczeni biesiadnicy mówią, że już w XI wieku rozpoczęli swą wielką wędrówkę aż z Indii; by dotrzeć po trzech stuleciach do Europy.

Rozmawiamy po bułgarsku, bo oni, jako pełnoprawni obywatele tego kraju, znają oczywiście jego język. I ja go znam, bo na trasach swojej włóczęgi ciągle stykam się z ludźmi: kiedy musisz z nimi porozumieć – uczysz się języka błyskawicznie.

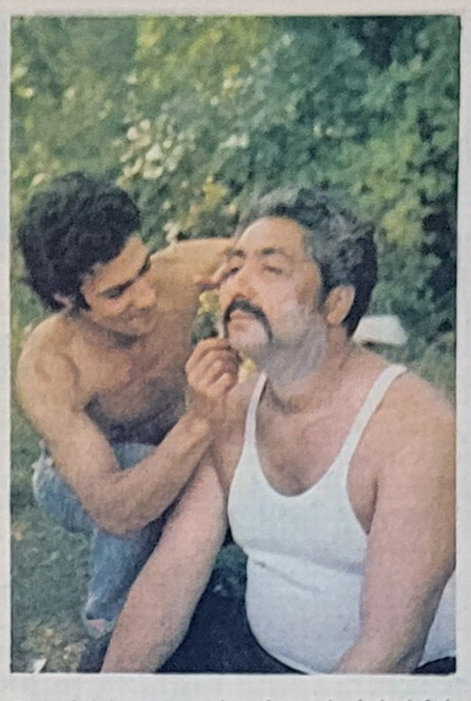

Przed zabawą trzeba się wyświeżyć, jak należy

Kiedy tak biesiadujemy – odzywa się w Cyganach oczywiście chęć ubicia korzystnego dla nich interesu:

– Andrej! – szarpią mnie. – Przywieź następnym razem magnetofon!

– Andrej! Telewizor tranzystorowy!

– Andrej! Dżinsy!

Tłumaczę, że nie handluję, że podróżuję, by poznawać kraj i ludzi... I już myślę, że nasza więź ostygnie, ale zaczynają wypytywać o mój kraj. Potem znów opowiadają z ożywieniem o swoim życiu. Że są kowalami, robią siekiery, patelnie, barwne koce i kilimy z owczej wełny. Że młodzi Cyganie – podobnie jak Bułgarzy – pracują coraz liczniej w przemyśle państwowym. Że wiedzie im się we wsi nieźle – tu i ówdzie stawiają sobie domki z kamienia i cegły. Że oni – naród koczujący – przywykają stopniowo do osiadłego trybu życia.

Jordan, z którym zaprzyjaźniłem się bliżej, poznaje mnie ze swoim dziadkiem. Dziadek ma 99 lat, wyprostowany jak struna, ma bujne siwe włosy i sumiaste wąsy. Klepie mnie przyjacielsko po plecach i powiada:

– Skoroś nas odwiedził, musisz zjawić się za rok, na moje stulecie!

Wtedy dopiero będzie uczta!

Fot. **A. Stawicki**

DOKOŃCZENIE ZE STR. 4

nutrie, kury, kaczki, indyki..., robiono zdjęcia na działce. Bo działkę, całkiem sporą, też już wtedy uprawiali – podopieczni wołali „jeść"! i trzeba było mieć swoją koniczynę, swoją lucernę... Kłopot był jeden – działka była dość daleko, a paszę z niej trzeba było codziennie przywozić. Ciężko. I wtedy właśnie wpadli na pomysł – konik by się nam jaki mały przydał, no, może osioł.

Wcale nie tak łatwo było osła kupić. Aż z Ministerstwa Kultury i Sztuki zgodę dostali, aby zakupu dokonać w łódzkim ZOO. Nazwali go – Maciuś. Miły był, tylko że na początku – strasznie uparty. 2 tygodnie ujarzmieł io Jurek Walizko, „osiołkowy", aż dał się zaprząc do wózka. A potem też przez jakiś czas, to owszem, ciągnął wózek, ale... jak Jurek biegł 2 metry przed

MACIUŚ ZE STAREGO ALBUMU

nim icukierkami kusił. Łasuch był z Maciusia!

Trzeba jednak przyznać, że na swoje cukierki zapracowywał. Solidnie. Bo to nie tylko zwózka paszy, ale i orka działki, i zwożenie materiałów przy budowie boiska – gigantyczną robotę wykonali, ale boisko było! – i różne jazdy dla przyjemności też...

Zdjęcie całe... białe. Nie tylko ze starości, od śniegu. Biegnie Maciuś leśną przecinką, saneczki ciągnie. Malutkie. Jedne, drugie... 9 osób w sumie Maciuś uciągał, zdarzało się, że i 10. Bo siłę, to on miał. Pewnie, kukurydzą karmiony!

„Świat Młodych" ogłosił wtedy akcję pn. „Bitwa o kukurydzę". Rada drużyny się zebrała. „No i jak?" – pyta się Bronia, przewodnicząca rady. „Czemu nie? – odpowiadają – spróbować można". Po prawdzie, to w Bobrownikach nikt nigdy dotąd kukurydzy nie siał, ale to był już któryś kolejny rok działalności drużyny i wszyscy przywykli, że właśnie harcerze są we wszystkim pionierami. I nutrie pierwsi mieli, i jedwabniki, i warzywa różne dziwne uprawiali... Teraz będzie kukurydza.

Przeznaczyli na nią ok. półtora hektara swej działki. Najpierw nawóz, z królików, a jakże, na pole wywieźli. Potem Maciuś ciągnął ciągnął bronę (jest takie zdjęcie w albumie), potem nastąpił siew – równiutko, pod sznurek. Biegali, co parę godzin, żeby sprawdzić, czy wzeszła. Niepokoili się – a może ziemia u nas dla tej kukurydzy niedobra?! Wreszcie – wschodzi. I rośnie, rośnie, rośnie... Wyrosła na 2 metry 30 centymetrów. Kukurydziana dżungla! Jedna kolba 28-30 centymetrów miała, a ziarna z niej było 16 dkg.

I jeszcze jedno zdjęcie. Maciuś ciągnie wózek. Na wózku – koce, garnki... Drużyna jedzie na 2-dniowy biwak. Pałatki mieli, można było w lesie spać...

Druh Jerzy Fent dotyka dłonią zdjęcia. Jakby głaskał po głowie kłapouszatego osiołka, Maciusia ze starego albumu. I zamyka album. I niby patrzy na mnie mówiąc – „tak było", ale widzę, że myślami jest zupełnie gdzie indziej – 25 lat temu, w Bobrownikach...

EWA KŁOSIEWICZ

Kolorowy asfalt

Twórczość dziecięca zawsze budziła duże zainteresowanie, a szczególnie ciekawie wypadają „dzieła" plastyczne dzieci. Najczęściej są to rysunki. Różne instytucje więc, począwszy od ognisk młodzieżowych aż po międzynarodowe organizacje, najczęściej UNESCO (Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Wychowania, Nauki i Kultury) oraz UNICEF (Fundusz Narodów Zjednoczonych Pomocy Dzieciom) ogłaszają rysunkowe konkursy.

Polskie dzieci mają w tej dziedzinie spore osiągnięcia. Zdobyły wiele złotych i srebrnych medali. Ostatnio na przykład, odbyło się w Polskim Komitecie do spraw UNESCO wręczenie nagród konkursu rysunków dziecięcych w Japonii, zorganizowanego pod patronatem Japońskiego Komitetu do spraw UNESCO. Laureatami zostali wychowankowie Młodzieżowego Domu Kultury z ulicy Łazienkowskiej w Warszawie: Piotrek Trzebiński otrzymał złoty medal, a Grażyna Krupczyńska – srebrny.

Od jakiegoś czasu spotykamy się z pewną odmianą malunków dziecięcych. Zamiast na papierze, dzieci coraz częściej malują poza pracowniami plastycznymi, nierzadko na asfalcie. Twórczość ta wymaga większej inwencji, rozmachu. No, a potem przez pewien czas, zanim koła samochodów nie zetrą kredy, kolorowy asfalt wygląda naprawdę bardzo sympatycznie.

Oglądałem taki konkurs zorganizowany przez Dom Kultury w Parczewie w woj. bialskopodlaskim. Widowisko było kapitalne. Kolorowo ubrane dzieci, lśniące w pełnym słońcu malunki, tłum kibiców, głównie rodziców, którzy często w ferworze „walki" zapominali o regulaminie konkursu (dzieci miały rysować samodzielnie) i pomagali swoim pociechom prowadzić kredę po jezdni. A mali artyści byli bardzo przejęci swoją pracą i traktowali ją szalenie serio.

Uczestników było 30. Najmłodsza – Ewa Waszkiewicz – liczyła sobie lat „aż" cztery.

Konkurs udał się znakomicie. Poziom prac był wyrównany, czego najlepszym dowodem okazał się fakt przyznania nagród wszystkim uczestnikom.

JERZY JAWORSKI
Fot. **autora**

ZAZ 4x4

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

Dwa radzieckie samochody osobowe – TUNDRĘ i NIVĘ miałem już okazję przedstawić w naszym kąciku. Obecnie trzeci przedstawiciel tego rodzaju samochodów.

Warto wspomnieć, że istnieje coraz większe zapotrzebowanie na samochody z napędem na cztery koła, mogące poruszać się po bezdrożach, pokonywać większe pochyłości, przejeżdżać płytsze rzeczki, rowy i brody. Samochód osobowy niezbędny jest między innymi przy pracach związanych z poszukiwaniem nowych minerałów, prowadzeniem hodowli, uprawą i pielęgnacją roślin, które to prace wykonywane są na terenach nie posiadających utwardzonych dróg. Samochody te mają umożliwiać również dostęp do atrakcyjnych miejsc wypoczynkowych.

Związek Radziecki w zakresie wytwarzania samochodów terenowych zaczyna zajmować jedno z czołowych miejsc.

Trzecim przedstawicielem pojazdów terenowych jest LuAZ-969 -M – gdyż taką liczbą oznacza się go przeznaczając na rynek krajowy. Na eksport oznacza się go marką ZAZ 4×4.

Posiada on bardzo ciekawą koncepcję konstrukcyjną. Silnik jego o pojemności 1197 cm sześciennych i mocy 39 KM osiąganych przy 4200 obr/min, chłodzony powietrzem – pochodzący od samochodu osobowego ZAPOROŻEC, umieszczony jest z przodu. Napęd od niego przekazywany jest na koła przednie, do jazdy w ciężkim terenie włącza się dodatkowo napęd tylnych kół, a więc odwrotnie od przyjętych konwencjonalnych rozwiązań napędów w tego rodzaju samochodach.

ZAZ 4×4 jest samochodem niewielkim, rozstaw jego osi wynosi 1800 mm, 1335 mm, długość 3360 mm, szerokość 1640 mm, wysokość 1845 mm. Zawieszenie wszystkich 4 kół jest niezależne, z tego względu jazda po nierównościach nie jest taka męcząca, gdyż przechyły są skuteczniej eliminowane. Koła o wymiarze 5,90 × 13 posiadają specjalny terenowy bieżnik.

Wewnątrz pojazdu mieszczą się cztery osoby. Dostęp do wnętrza umożliwiają pojedyncze drzwi, umieszczone po obydwu stronach nadwozia. Dach i górna część nadwozia wykonana jest z brezentowej opończy, zaopatrzonej w celuloidowe szyby boczne i szybę tylną. ZAZ 4×4 rozwija prędkość maksymalną 85 km/godz. i zużywa 9 litrów paliwa na 100 km. Jest on produkowany przez Zakłady Samochodowe w Łucku.

ZENON DUTKIEWICZ

FOTOGRAFIA PRZYRODNICZA (39)

STATYW

Wśród przysyłanych zdjęć wiele jest niestety nieostrych. Nie wynika to zresztą ze złego nastawienia odległości obiektywem, ale po prostu poruszenia. Inną przyczyną takich błędów jest mała głębia ostrości (stosowanie przysłony 1,8 do 2,8) wynikająca zwykle ze złych warunków świetlnych. W wyniku tego na zdjęciu, na którym znajduje się wiele planów, tylko jeden obiekt jest częściowo ostry, a inne rozmywają się.

Jest na to jeden sposób – statyw. Zamocowany na nim aparat jest stabilny, można naświetlać bardzo długo zwiększając zakres głębi ostrości (pisaliśmy już o tym). Fotograf zajmujący się poważnie swoją dziedziną używa statywu nawet w słoneczną pogodę. Statyw przeszkadza tylko w szybkich zdjęciach reporterskich, gdzie pierwszeństwo daje się możliwościom manewrowania sprzętem nad jakością techniczną zdjęcia, którą w zamian podnosi się, używając wysokoczułych filmów (do 36 DIN).

Nie ma z kolei potrzeby, żebyście nosili ze sobą duży, zawodowy statyw. Wystarczy lekki, składany, produkcji NRD lub Meopty (gdyż te bywają na rynku). Oczywiście do wyzwalania zdjęć warto wtedy używać wężyka spustowego.

Mój ojciec, który uczył mnie wykonywania pierwszych zdjęć, używał takiego właśnie statywu. Można go wkręcać (wysuwaną z obudowy śrubą) w drewno i przykręcać do różnych przedmiotów. Można też dokręcać do niewidocznej na zdjęciu śruby składaną nóżkę, którą opiera się o ziemię.

Jeżeli nie stać was na kupno statywu, spróbujcie zrobić sami taki. (Śruby wkręcane do aparatu dostaniecie w sklepach Foto-Optyki). Należy je tylko oprawić.

Tekst i zdjęcie
MAREK OSTROWSKI

Przypominam o trwającym konkursie na wakacyjną fotografię przyrodniczą. Na zdjęcia czekamy do końca września. Najlepsze tematycznie i technicznie zarejestrowane spostrzeżenia zostaną wydrukowane, a autorzy otrzymają honoraria. Wśród wydrukowanych zdjęć czytelnicy ocenią, które jest najlepsze, a jego autor otrzyma nagrodę. Tym samym spełnimy wasze prośby zawarte w przedwakacyjnych listach.

W odcinku sprzed dwóch tygodni o filtrach polaryzacyjnych jedno ze zdjęć zostało przekręcone o 180°. Utrudniło to stwierdzenie, że jest to ta sama powierzchnia wody tyle, że sfotografowana bez użycia filtru. (mo)

... „Głupi niedźwiedziu,
gdybyś w mateczniku siedział
Nigdy by się o Tobie
Wojski nie dowiedział..."
(„Pan Tadeusz" – A. Mickiewicz
Księga IV – „Dyplomatyka i łowy"

Ten niezgrabny, kudłaty

W przepastnych borach Polski piastowskiej żyła wielka obfitość grubego zwierza, a wśród innych okazów – niedźwiedź brunatny (*Ursus arctos*), stary mieszkaniec tych lasów. Niedźwiedzie zamieszkiwały zresztą zarówno obszary nizinne, pogórze, jak również góry średniej wysokości i wysokie – całej Europy z wyjątkiem Wysp Brytyjskich. Dobrze żyło się misiom w dawnych czasach, na obszarach dzisiejszej Puszczy Białowieskiej, Tatr, Karpat – dopóki nie wkroczył tam człowiek. Od tego momentu poprzez następne wieki ginęły niedźwiedzie od toporów, oszczepów, łuków, kusz, kordelasów, krzoskowych półhaków i karabinów...

JUŻ ZA PIERWSZYCH PIASTÓW

w Nowotarszczyźnie żyła ludność myśliwska. Pogrom puszczy na tych obszarach rozpoczął się z początkiem XIII w., kiedy to Teodor herbu Gryf zwany Czadrym otrzymał przywilej karczowania lasów. Pod siekierami padał wspaniały drzewostan, a od oszczepów – „polowaców" ginął zwierz. Myśliwski zawód zawsze był w Tatrach „honorny", więc ilość gwar gazdy wierchów tatrzańskich zmniejszała się coraz bardziej. Polowano zresztą nie tylko w Tatrach. Tereny dzisiejszych puszcz: Białowieskiej, Niepołomickiej, Tucholskiej czy Kampinoskiej były również miejscem łowów naszych władców i możnych panów.

Oprócz myśliwych, inne jeszcze niebezpieczeństwa czyhały na niedźwiedzia. Już stare dokumenty okresu Piastów wspominają o bartnikach. Pierwsze notatki kronikarskie sięgają czasów wojny cesarza Henryka II z Bolesławem Chrobrym. W XIII wieku kronikarz Kadłubek pisze, że w „*miodopłynnych*" puszczach powstały całe osady bartnicze. Na misia – wielkiego amatora i smakosza miodu – niszczącego barcie, wybierającego z nich miód, często zagrażającego bartnikom – zastawiano więc różne, często okrutne, pułapki jak:

obwieszanki – pnie obite gładkimi dylami

podkury – pomosty obite ostrymi kołkami

dzwony – wiszące kloce

kolebki – ławki przymocowane do zgiętego, sprężystego drąga

żelazne kolce – wbijane ostrzem w górę pnia drzewa odcinały amatorowi miodu powrót na ziemię. Podczas zsuwania niedźwiedź kaleczył się – nieraz śmiertelnie.

STOPNIOWO ZACZĘTO NIEDŹWIEDZIE, OSWAJAĆ I... TRESOWAĆ

Od czasów Średniowiecza znany był fach niedźwiedników pokazujących, jak król puszczy na rozkaz swego pana podnosił się na tylne nogi i przy dźwiękach trąbki przytupywał, co prawda niezupełnie do taktu, lecz wystarczało to, aby oczarowani widzowie gotowi byli przysiąc, że widzieli go tańczącego. Po wykonaniu swego numeru „artysta" dostawał do przednich łap drewnianą miskę, z którą przybliżał się do widzów – hojnie zazwyczaj sypiących grosze.

W XVII wieku najsłynniejsza w Europie szkoła niedźwiedzi znajdowała się na ziemiach ówczesnej Rzeczypospolitej Polskiej w Smorgoniach, a zwana była żartobliwie „akademią smorgońską". Stosowane tam metody dydaktyczne – o których wiadomości zachowały się w pamiętnikach współczesnych – nie zasługują na miano zbyt humanitarnych. W owych czasach nikomu nie przychodziło do głowy przejmować się bólem czy cierpieniem zwierzęcia tak potężnego i – jak uważano – tak mało wrażliwego. A można je nauczyć wielu różnych sztuk – zwłaszcza tych, do których ma wrodzone zdolności, a więc wspinaczki, chodzenia po wąskich kładkach wysoko umieszczonych, utrzymywania równowagi...

Misie tresowano na rozpalonych, dużych blachach. Dreptały na nich w miejscu aby przynajmniej na chwilę podkurczyć podpiekane podeszwy. Ćwiczenia te powtarzano przez kilka tygodni przy dźwiękach trąbki. Po pewnym czasie drogą nabytego odruchu misie na sam odgłos trąbki stawały na dwie łapy i „tańczyły". Tak wytresowane wędrowały potem z niedźwiednikami po odpustach i jarmarkach, wzbudzając sensację.

OD NAJDAWNIEJSZYCH CZASÓW

na niedźwiedzia polowano nie tylko, aby zdobyć jego skórę wysoko cenioną. Za bardzo smaczne uważano mięso młodego niedźwiedzia; szynkę, łapy, głowiznę. Sadło zaś miało zastosowanie w lecznictwie ludowym. W łowiectwie spotykamy szereg określeń związanych z niedźwiedziem, np.:

barłóg – zimowe schronienie
drabina – wyprostowana postawa
gawra – legowisko
jucha – krew
kęsy – zęby
kudła – sierść
paszczęka – pysk
piastun – roczny niedźwiedź
szarawary – uda
ślepie – oczy

Dziś w Polsce niedźwiedź podlega całkowitej ochronie. Na wolności w Europie Środkowej żyje bowiem około 25 tych zwierzaków, a każdego roku przychodzi na świat zaledwie kilka.

Znikoma ich ilość w Tatrach spowodowana jest małą ilością pożywienia, dużym ruchem turystycznym oraz wypasem bydła i owiec.

WIELU CHCIAŁOBY JE TAM ZOBACZYĆ, ALE ZDARZA SIĘ TO TYLKO NIELICZNYM

W lipcu 1953 roku pracownicy tatrzańscy zobaczyli niedźwiedzia wchodzącego na Karb pod Kościelcem. Był to jeden z 5 niedźwiedzi, żyjących wtedy w tych okolicach.

W maju 1960 roku Ministerstwo Leśnictwa otrzymało z Rumunii dwa kilkumiesięczne niedźwiadki. Umieszczono je 23 maja 1961 roku na Hali Smreczyny. Niedźwiedzie były wychowane przez człowieka i następnie wypuszczone na wolność. Zdobywały najpierw wiktuały od ludzi – potem przeszły do rabunku, co mogło się stać niebezpieczne. Dyrekcja Parku postanowiła wtedy usunąć je z Tatr. Niestety, zdecydowano o tym za późno. W międzyczasie „Bartek" został zabity przez samochód. Tylko „Magdę" umieszczono w ogrodzie zoologicznym w Czechosłowacji...

Dalsze poszukiwania legowisk niedźwiedzich doprowadziły do znalezienia 07.03.1961 roku gawry wśród młodych świerków w okolicy Czuby Roztockiej. Była ona opuszczona, wyścielona gałęziami, przewiązana w poprzek młodym świerkiem. Jak wynikało z badań – gawra była jedynie czasowym schronieniem tego zwierzęcia.

Z kolei w obrębie Beskidów Zachodnich nad Skawą, w drodze na Suchą w 1970 roku zauważono niedźwiedzicę z małymi. Matka uświadamiając sobie zbliżanie człowieka zatrzymała się – długo i czujnie wietrząc natręta...

BARBARA CHOLEWA
Fot. **CAF**

W następny czwartek dokończenie tego artykułu pt. „Polskie misie ogrodowe". (red.)

ŻÓŁW I PAPUŻKI

Pisze do nas **Aleksandra Wróblewska, ul. Łanowa 11a m 23, 89–600 Chojnice:** *„Błagam, pomóżcie, bo jestem w kłopotliwej sytuacji, a konkretnie to dopiero będę. Otóż dostałam w prezencie żółwia. Jeśli się nie mylę, to stepowego. Na razie jest wszystko w porządku, bo on je sałatę i prawie wszystko co jest zielone, ale co będzie zimą? Żółw bardzo mi się podoba i za wszelką cenę chciałabym go utrzymać przy życiu. Ale niestety, zbyt mało wiem o żółwiach. Nie mam pojęcia, czy żółw lubi słońce, czy cień, czy musi mieć dużo wody itp. Dlatego, proszę, skontaktujcie mnie z kimś, co już żółwia miał, lub wie, jak go hodować..."*

Kto więc napisze do Oli?

Na listy od kolegów czeka też **Klaudiusz Madeja, ul. Niedziałkowskiego 55 m 3, 41-800 Zabrze,** hodowca papużek falistych. Klaudiusza interesują wszelkie informacje dotyczące hodowanych przez niego ptaków, poszukuje też książki „Papużki faliste". Może ktoś z wielu pisujących do nas hodowców papug mógłby odstąpić egzemplarz?

Listonosz **Tomek**

GDY ROZPOCZYNAŁ SIĘ WIEK STALI...

DOKOŃCZENIE ZE STR 2

odporne na takie przypadki od konstrukcji nitowanych i łączonych śrubami.

Wojna, która wkrótce wybuchła, szczególnie tragiczna dla warszawskich budowli, potwierdziła w pełni jego poglądy. Budynki o szkieletowej konstrukcji okazały się najbardziej odporne na wybuchy bomb lotniczych!

Jeszcze przez kilka lat po wojnie – zanim je odbudowano, a można to sprawdzić na zdjęciach z tamtych lat – budynki zbudowane przez Bryłę demonstrowały olbrzymie wyrwy w swej konstrukcji, a mimo to stały. „Prudential House" jako najwyższy punkt w mieście w czasie powstania był straszliwie bombardowany i ostrzeliwany – podobnie jak gmach PKO – a jednak ludzie chroniący się w nich czuli się najbezpieczniej.

Lecz nie przeżył okupacji hitlerowskiej ten, którego konstrukcje tylu ludzi ochroniły od śmierci. Aresztowany w listopadzie 1943 roku, został rozstrzelany 3 grudnia w ulicznej egzekucji. Jedyną jego winą było to, iż należał do narodu przez hitlerowców skazanego na zagładę...

* * *

W naszych czasach spawalnictwo konstrukcji stalowych tak spowszechniało, że często nie zdajemy sobie sprawy z jego ważności w życiu powszednim. Spawane konstrukcje, to nie tylko mosty i szkielety wysoko wznoszonych budowli. To także nadwozia samochodów i kadłuby okrętów. Dziś dzięki spawaniu potrafimy już budować je metodą sekcyjną. Zdarza się, że w suchym doku budujemy połówki ponad stutysięcznika i spawając łączymy je na wodzie poza dokiem. Tak jak czynią to nowoczesne stocznie w całym świecie.

Warto więc choć kilka chwil poświęcić na wspomnienie o człowieku, któremu świat tyle zawdzięcza.

LESZEK KOMUDA

Autorką mego portretu tygodnia jest Marzena Podhajska.

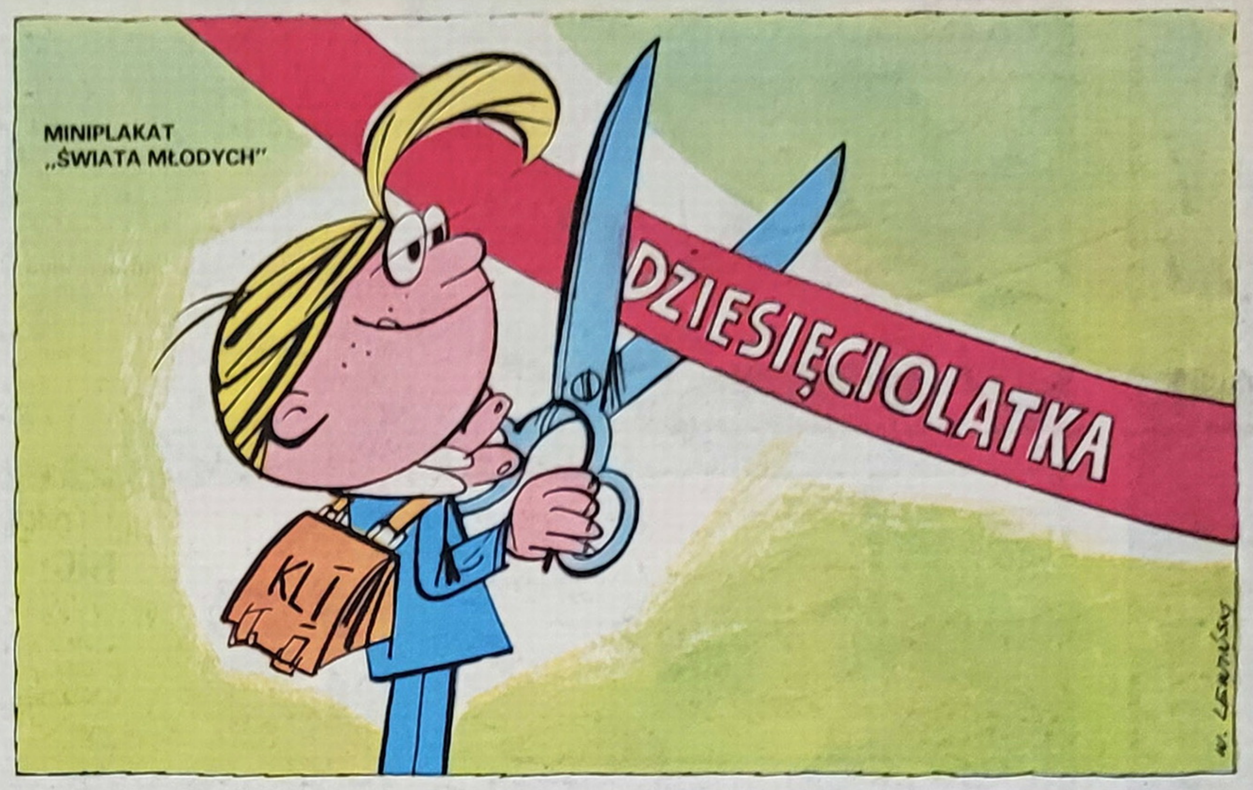

Redaguje
Włodzimierz Lewiński

Cześć!

Jak odzwyczaić się od palenia papierosów? – takie pytanie zadała mi w liście pewna Czytelniczka „Świata Młodych".

Nikt z nas, nie wyłączając Krasnoludka, nie pali, więc nie wiem co poradzić. Piszesz, kochana Czytelniczko, że uwielbiasz Mirosława Konarowskiego. Otóż donoszę Ci, że pan Mirosław też nie pali papierosów, a Ty z tym zapachem, gdy chuchniesz... Twój list leżał na mym biurku dość długo, więc w głębi duszy mam nadzieję, że już dawno rzuciłaś to paskudztwo!

* * *

KĄCIK POSZUKIWAŃ

...W tym roku byłyśmy na wakacjach w Stegnie. Poznałyśmy tam fajnych chłopców: Wojtka i Piotrka. Wiemy tylko tyle, że są z Bielska Białej. Chciałybyśmy nawiązać z nimi kontakt listowny. A może napisze do nas jeszcze ktoś, kto był z nami w Stegnie?

Renia Korzykowska ul. Próchnika 26/4, 82-300 Elbląg

Ewa Danielak ul. Barona 10/5, 82-300 Elbląg.

* * *

Esmeraldo! Chciałabym przyśnić się Krzyśkowi jako bardzo zmęczona dziewczyna, jadąca na niebieskim rowerze. Anka.

Piszcie! Do zobaczenia!

Wasz **Rzep**

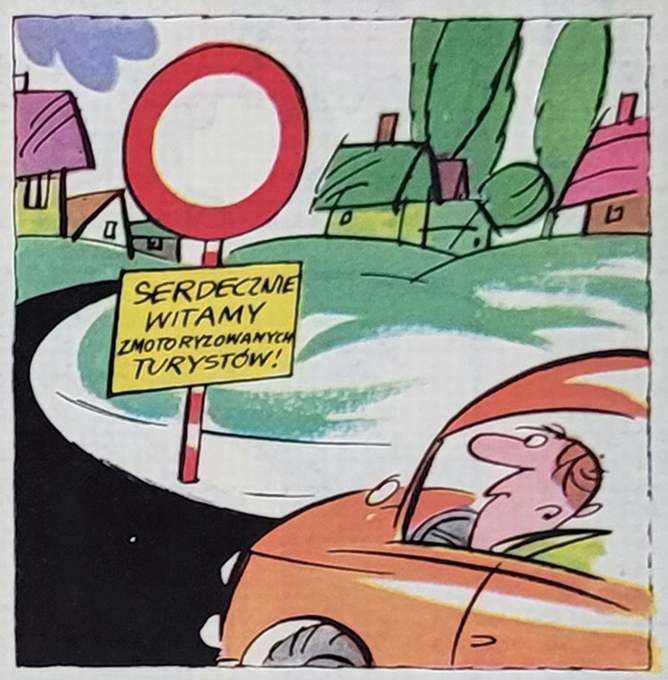

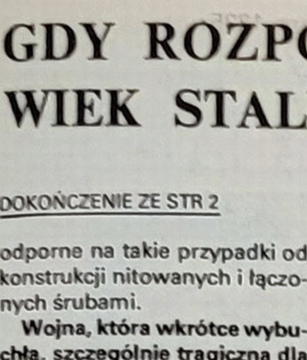

Moi Drodzy, po wakacyjnej przerwie znów zaczynamy się spotykać w każdy czwartek. Moim dawnym czytelnikom przypominam, a nowych informuję, że na listy odpowiadam tylko na łamach gazety. Lubię odważnych, którzy nie boją się podpisać swoim imieniem i nazwiskiem, ale rozumiem tych, którzy z pewnych względów wolą pozostać nadawcami anonimowymi.

Witam i od razu biorę się do roboty, bo listów jest sporo, a miejsca w naszym kąciku nie za wiele.

W piosence „Jakie ładne chłopaki" są słowa: jakie ładne chłopaki tę wojnę wygrały..., uważam, że powinno być „wygrali". Koleżanka powiedziała, że jest dobrze, ale gdy spytałam dlaczego, nie umiała mi wyjaśnić. Która z nas ma rację?

Majka

Rozumiem, że dziwi Cię, iż **chłopaki wygrały,** bo chłopak to nie dziewczyna, a przecież mówimy: **dziewczyny wygrały.** Ale mimo wszystko błędu w piosence nie ma. Zaraz postaram się to wyjaśnić. W języku naszym są dwa wyrazy oznaczające młodą osobę płci męskiej: **chłopiec** i **chłopak.** Z chłopcem nie ma problemu – w liczbie mnogiej powiemy **chłopcy wygrali** i wszystko jest jasne. Inaczej z chłopakiem. **Chłopak** w liczbie mnogiej ma dwie formy: **ci chłopacy** i **te chłopaki.** Pierwsza z nich, rzadziej używana, nazywana jest formą męskoosobową. Termin ten brzmi uczenie, ale znaczy po prostu, że **chłopacy** traktowani są jak osoby, i to rodzaju męskiego, o czym świadczy to, że mówimy: chłopacy wygrali. Forma **chłopaki** nazywana jest rzeczową, ponieważ postępujemy z nią jak z nazwą rzeczy. (Chłopaki wygrały, tak jak haki wypadły, plecaki pęczniały.)

Wyraz **chłopak** w porównaniu z wyrazem **chłopiec** jest nazwą jakby nieco poufałą, może trochę lekceważącą (porównaj: chłopak na posyłki). W piosence jest jednak nazwą swojską, serdeczną, bo są to nasze równe, dzielne chłopaki. Na pewno znasz więcej podobnych wyrazów, przypomnę Ci kilka: urwisy przyszły, zuchy zrobiły, chwaty się popisały, gagatki narozrabiały.

Mieszkamy w Malborku i już od dłuższego czasu zastanawiamy się, jak należy mówić o mieszkańcach tego miasta: malborzanie czy malborczanie?

Małgosia i Asia

Ani tak, ani tak, lecz **malborczycy.** Jest ten **malborczyk,** ta **malborka.**

Do zobaczenia za tydzień

Wasza **KROPKA**

RZEPKLUB

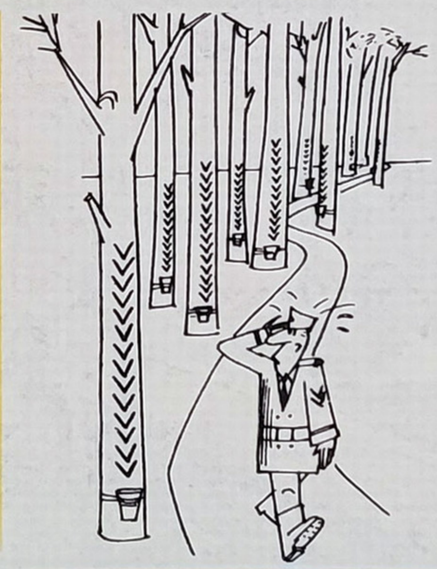

Wpisuję na listę klubową troje nowych członków: 1. Renatę Lasoń 2. Krzysztofa Bronkę 3. Joannę Dąbrowską. Żarty rysunkowe nadesłane przez nich zamieszczam poniżej.

Kochanie, zobacz jak nasz Piotruś umie cofać!

– Wolałbym, aby ta zbroja i rękawica znalazła się w ekspozycji muzealnej na miejscu bitwy pod Grunwaldem – powiedziałem.

– No cóż, o tym zadecydują władze zwierzchnie – rzekł konserwator.

Jeszcze raz spojrzałem na złotą rękawicę, która okrywała prawą dłoń rycerza, a potem rzuciłem okiem na hełm. W dwóch miejscach nosił ślad, jakby go porąbano bardzo ciężkim mieczem. Myślę, że ślady uderzenia nosiła także i czaszka rycerza. Czy prawdę mówiła legenda, że był to niemiecki dumny rycerz, który pod nogi jednego z polskich rycerzy rzucił swoją złotą rękawicę i w ten sposób wyzwał go do walki! A potem legł ze strzaskaną głową. I czy rzeczywiście działo się to w okresie, gdy Kazimierz Jagiellończyk przez trzynaście lat wojował z Krzyżakami i wojnę tę zakończył pokój w Toruniu.

Historię o dwóch mieczach przysłanych Jagielle przez Krzyżaków zna każdy mieszkaniec Polski, bo została zapisana w kronikach Długosza. Historii o złotej rękawicy nikt chyba, żaden kronikarz, nie zapisał, przetrwała tylko w legendzie i w ludowej poezji.

Ale teraz już i wy ją znacie. Przypomnijcie ją sobie, gdy będziecie odwiedzać ławę i zobaczycie na wzgórzu wysoką wieżę starego kościoła. W chwili, gdy piszę te słowa, krypty są zamknięte, wymagają bowiem remontu. Ale z czasem zostaną udostępnione dla zwiedzających. Być może danym wam będzie zobaczyć stare trumny możnego rodu Finckensteinów i Boyenów, ujrzycie przez szybki w trumnach zmumifikowane zwłoki grafini, która zmarła w połogu oraz zwłoki rycerza – bez zbroi – i w zwykłych skórzanych rękawicach. Tej złotej bowiem, podobnie jak zbroi i strzaskanego hełmu, szukać należy w którymś z muzeów.

* * *

Na Wielkiej Żuławie kończył się chyba turnus wczasowy, bo znowu między wyspą i przystanią kursowały motorówki, przewożąc obładowanych walizkami wczasowiczów. Ale tym razem wożono ich z wyspy na przystań, ludzie wyglądali na wypoczętych, opalonych, zadowolonych z życia.

Minęło już dawno południe, zza chmur wyszło słońce i zaczęło świecić ostro, intensywnie, jakby chciało nadrobić nieobecność. Uzupełniłem zapasy żywności i czekałem na wiatr, który poniósłby mnie na północ. Jeszcze nie wiedziałem, jak wykorzystam pozostałą mi część urlopu. Czy będę pływał bez celu po Jezioraku, od czasu do czasu odwiedzając pana Lejwodę, aby upewnić się, czy mój wehikuł stoi u niego bezpieczny. Czy też – i tę możliwość rozważałem – Kanałem Elbląskim będę próbował dostać się nad Zalew Wiślany.

Dopiero pod wieczór po jeziorze zaczęły chodzić najpierw drobne, a później coraz silniejsze szkwały. Przestały też krążyć motorówki i opustoszał pomost.

Już miałem podnieść główny żagiel i odwiązać cumę, gdy na deskach pomostu głośno zatupotały kroki i zjawiła się dziewczyna w haftowanej bluzce i w szerokiej spódnicy z żółtymi słonecznikami. Trzymała w ręku podróżny worek.

– Dzień dobry, a raczej, dobry wieczór – powitała mnie z uśmiechem. – Już myślałam, że nie zastanę nikogo, kto mógłby mnie zabrać na łódź.

– A dokąd pani chce płynąć?

– Wszystko mi jedno – bezceremonialnie rzuciła worek na dno kokpitu.

– O – stwierdziłem z udanym zdumieniem – zmieniła pani plany. Bo o ile pamiętam, poprzednim razem chciała się pani dostać jedynie na Wielką Żuławę.

– Ostatnio rzeczywiście spuściłam trochę z tonu – westchnęła. – A może przeciwnie, wzrosły moje wymagania? Dawniej chciałam płynąć tylko na wyspę, a teraz dalej i dalej, jak najdalej.

– Od czego?

– Od przygód – oświadczyła.

Roześmiałem się.

– W porządku, Bajeczko. Mam nadzieję, że nie czeka nas już żadna przygoda.

KONIEC

UWAGA:

Powieść Zbigniewa Nienackiego ukaże się w roku przyszłym nakładem Wydawnictwa „Nasza Księgarnia"

Atomek

TEKST I RYSUNKI PAPCIO CHMIEL

TYTUS, Romek i Atomek

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. 3 Maja 7, 40-096 Katowice (tel. 599-230, telex 0315327).
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	28-56-18
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przejmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35048.

Opracowanie graficzne
Mieczysław Teodorczyk

Redakcja techniczna
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa

Zam. 5654/G **S-34**

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ 00-561 POCZTOWY

W NASTĘPNYM NUMERZE ZNAJDZIECIE

- Nową powieść... fantastyczną! Nie o Kosmosie, nie o przyszłości, ale o sprawach, które się dzieją tu u nas na Ziemi
- Zakończenie dyskusji w Klubie Nastolatków „Jak być dorosłym?"
- Korespondencję z Włoch
- „Wieczór pod cyprysem"
- Reportaż o 19-letnim instruktorze ZHP

— Wyznaję szczerze, że byłeś w tej sprawie lepszy i sprytniejszy ode mnie – powiedziałem otwarcie. – Na swoje usprawiedliwienie mam jedynie fakt, że zajmowałem się nie tylko poszukiwaniem złotej rękawicy, ale chciałem, aby pewni ludzie odnaleźli siebie samych. Wygrałem, ponieważ ty miałeś utrudnione zadanie, musiałeś doprowadzić do zmian w scenariuszu, aby dostać się do podziemnych krypt, gdy ja mogłem działać otwarcie, z pomocą konserwatora wojewódzkiego. Ale tym większy mam dla ciebie podziw. Historia ze zmianą scenariusza, to był prawdziwy majstersztyk.

– Ja też miałem sporo innych kłopotów. Domini koniecznie chciał wylansować Dianę Denver i zmusił mnie do zorganizowania jej „porwania". Obiecywał, że zaprosi mnie do pracy przy dalszych odcinkach „Świętego". Teraz już o tym nie wspomina, bo historia się nie udała i to z twojego powodu. No cóż, dam sobie radę bez pana Domini – zaśmiał się.

Spoważniał:

– A jednak trawi mnie ciekawość, czy trumna rzeczywiście kryje zwłoki rycerza ze złotą rękawicą.

– Mnie też trawi ten sam niepokój. I dlatego zamiast wypocząć po nocnych przeżyciach, już od rana krążę koło kościoła i czekam na specjalistów z PKZetu.

– Pozwolisz mi uczestniczyć w otwarciu trumny? – zapytał.

– Ależ oczywiście – skinąłem głową. – Zbyt dużo wysiłku włożyłeś w tę zagadkę, aby teraz nie mieć żadnej satysfakcji. Można powiedzieć: niemal jednocześnie, jak gdyby razem, a raczej przeciw sobie, wyjaśniliśmy tę sprawę.

W godzinę później podniesione zostało wieko blaszanej trumny. Na zetlałej materii, zapewne płaszczu rycerskim, leżał zmumifikowany rycerz w zbroi z XV wieku. Strzaskany hełm był już mocno przerdzewiały, z uchylonej przyłbicy patrzyły na nas czarne oczodoły, czaszka szczerzyła duże żółte zęby. Pancerz zachowany był dość dobrze. W świetnym stanie okazał się obosieczny miecz i metalowe nagolenniki. Ręce złożone na piersiach okrywały ogromne rękawice.

Na pierwszy rzut oka wydawały się jednakowe, bo pokrywał je kurz. Ale gdy dmuchnęliśmy na prawą dłoń, kurz rozwiał się i błysnął złoty metal.

Złota rękawica. Zrobiona była ze skóry, dość grubej i mocno już zniszczonej. Na skórzane palce naciągnięto złote obrączki, podobne złote obręcze obejmowały dłoń i kiść dłoni. Poszczególne małe obrączki i duże obręcze połączone były złotymi łańcuszkami, które umożliwiały ruch palców, zginanie całej dłoni. Rękawica musiała być bardzo ciężka, już samo uderzenie nią w odkrytą głowę mogło powalić człowieka na ziemię. I chyba dość dobrze chroniła dłoń przed nożem lub draśnięciem miecza.

– Tak oto ma pan swoją rękawicę – oświadczył z zachwytem konserwator wojewódzki. – Poeta Gustaw Kodrąb, bo tak się zdaje się nazywał autor wiersza, który mi pan recytował, mówił prawdę. Oczywiście w tym stanie, w jakim teraz oglądamy zwłoki trudno powiedzieć, czy był to rycerz niemiecki, francuski lub flamandzki. Na razie niczego nie będziemy tu ruszać. Nakryjemy wieko i całą trumnę przewieziemy do Warszawy.

– Tak – skinął głową jeden z fachowców – wyjęcie zwłok ze zbroi tak, aby nie uszkodzić niczego, wymaga dużej ostrożności. Zbroję trzeba będzie starannie oczyścić i zakonserwować, a może i odświeżyć. Myślę, że podczas konserwacji odkryjemy na zbroi herb rycerza albo jakieś inne znaki, które pozwolą ustalić rodowód tego człowieka. Zwłoki odeślemy w trumnie do podziemi kościoła w Iławie, a zbroja i oczywiście złota rękawica znajdzie się w muzeum. W którym – trudno w tej chwili powiedzieć. Myślę, że najlepsze miejsce to Muzeum Wojska Polskiego.

Dokończenie na str. 7